

Bô Yin Râ

TAJEMNICA

Tytuł oryginału

DAS GEHEIMNIS

Przekład

Mieczysław Wiśniewski

Nowy Sącz - 2018

Księgi Bo Yin Ra,

zarówno w oryginalnym języku niemieckim, jak i w przekładach na język polski, znajdują się w Polsce niemal we wszystkich głównych bibliotekach uniwersyteckich i wielkomijskich.

Niniejsze wydanie dostępne jest w wersji elektronicznej na stronie:
www.boyinra.org.pl

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

przez księgarnię Kobera w Bernie

(*www.koberverlag.ch - info@koberverlag.ch*), która wydaje księgi Bo Yin Ra w oryginalnym - niemieckim języku.

Czyniąc zadość wymaganiom prawa autorskiego
zaznaczam, że w życiu doczesnym nazywam się
Józef Antoni Schneiderfranken, natomiast w moim
bycie wiekuistym byłem, jestem i pozostanę tym,
który te księgi podpisuje

BO YIN RA

ZAWIĄZANIE
ROZMOWA NA WYBRZEŻU
SAN SPIRITO
NOC NA POŁUDNIU
SKALISTA WYSPA
PRZEJAZDŹKA PO MORZU
POSŁOWIE

*Wszystkim Szukającym
na świecie !*

ZAWIĄZANIE

Zalewające wszystko, niemal dostępne dla dotyku światło południowego słońca tak przepoiło jasnością oczy trzech wędrowców, że stali zrazu jakby oślepieni, nic prócz ciemności nie dostrzegając w pełnej mroku wiejskiej austerii.

Wewnątrz jednakże poznano już w przychodniach podróżnych z lepszej sfery, co miało ten skutek, że ku raptownemu ich przerażeniu gruchnęły nagle z głębi izby ogłuszające, pełne uciesznego patosu kaskady dźwięków ulubionego na prowincji orkiestronu.

Jednocześnie wynurzyła się z mroku jakaś ogromna, korpulentna postać, wyciągając ku nim na powitanie obie ręce.

A choć było widoczne, że postać ta coś mówiła, jak gdyby frazesy powitalne, zdając się być niezmiernie dumna ze zgotowanego podróżnym hucznego przyjęcia, jednakże słowa dźwięcznego dialektu krajowego tonęły zupeł-

nie w powodzi straszliwego dudnienia, w głośnym huczeniu kotłów i warkocie bębna.

Na migi jedynie zdołali goście dać zwolna do zrozumienia stojącemu przed nimi tłuściochowi, w którym odgadli uprzejmego „padrone”- gospodarza oberży, by dał wreszcie pokój tym straszliwym hałasom; a gdy pojawił się to „padrone” ciężkimi krokami zanurzył się z powrotem w ciemnościach, chaos dźwięków urwał się raptem jak uciał.

W ciszy jaka zapanowała, słyhać było tylko starego, wydającego polecenia, na co mu jakiś dźwięczny głos chłopięcy posłusznie odpowiadał.

Niebawem oczy podróżnych, stopniowo oswoiwszy się z ciemnością, dostrzegły też i Bogu Ducha winnego sprawcę okropnego hałasu w osobie zwinnego chłopca o czarnych kędziorach, mogącego mieć nie więcej nad lat jedenaście lub dwanaście. Zdyszany jeszcze i zarumieniony od gorliwego kręcenia korbą swej hałaśliwej maszyny, starał się właśnie zdmuchnąć z zielonego obrusa, którym był okryty najbliższy stół, okruszyny jadalne po gościach poprzednich.

Dopiero teraz podróżni mogli wyłuszczyć Padrone, kłaniającemu się z ociężałą grandezzą, swe życzenia, sprowadzające się do zwykłego miejscowego posiłku. Po krótkiej chwili wędrowcy siedzieli na wyplatanych słomą stołkach za zielonym stołem, pocętkowanym niezliczonymi śladami rozlanego wina i oliwy. Postawiono przed nimi oplecioną sitowiem wysmukłą butelkę, której wyborna zawartość: ciemne jak atrament Chianti wypełniało już szklaneczki.

Ser, oliwki i chleb biały, wszystko razem na trzech poszarżałych od starości talerzach, stanowiły ów upragniony posiłek.

Po podaniu tych smakołyków padrone i jego synek znikli dyskretnie w jakimś niewidocznym zakamarku; podróżni zaś jedli i pili aż, nasyciwszy się poczuli nieprzepartą ochotę do wznowienia dyskusji, przerwanej u progu gospody.

Słodkawy aromat wschodnich papierosów wypełnił niską, sklepioną izbę, a wątle smużki niebieskawej bieli dymu snuły się igrając wokół długoszynnej, oplecionej łykiem butelki od Chianti.

Cała atmosfera usposabiała w szczególnie sposób do wycieczek w krainę fantazji.

Jakoż wędrowcy odnieśli wrażenie, że o wszystkich tych pełnych tajemniczości rzeczach, z którymi nie uporali się dotychczas, byłoby znacznie lepiej pogawędzić tutaj niż na dworze, w bezlitośnie jasnym blasku słońca.

- Obstawę przy swoim twierdzeniu, - podjął najstarszy z trójki, - a choć brak mi wszelkiego pod tym względem doświadczenia, gdyż osobiście nigdy nie przeżywałem nic podobnego, lecz dostatecznie świadczą mi wybitni uczeni nieomal wszystkich narodów kulturalnych, że musi być szczypta prawdy w tych zjawiskach, które na nas, ludzi nowoczesnych, sprawiają wrażenie jakichś scen upiornych ze starych baśni.

Nie podobna, aby ci trzeźwi eksperymetatorzy, którzy badali podobne fenomeny częstokroć przy pomocy najczulszych instrumentów, nie mówiąc już nawet o aparacie fotograficznym, mogli ulec w czambuł najpospolitszemu złudzeniu !

Najmłodszy, mężczyzna może trzydziestokilkuletni, odrzekł z lekkim niepokojem w głosie:

- Bezsprzecznie ma pan słuszność; lecz jak powiedziałem już uprzednio, wszelkie świadectwa naukowe, choćby się wydawały panu tak ważkimi, dla mnie są zgoła zbyteczne, gdyż zdarzyło mi się niegdyś samemu przeżyć wszystko, o czym pan nam opowiadał na podstawie przestudiowanych przez siebie sprawozdań; - a nawet brak mi w tych pańskich relacjach wielu rzeczy, których by można było posłuchać z daleko większym zdumieniem, a które sam przecie przeżyłem!

- Gdybym nie znał pana jako człowieka, umiającego stać twardo obu stopami na naszej lubej, roześmianej ziemi, - zaoponował trzeci, przysadkowaty, silnie zbudowany mężczyzna, sprawiający wrażenie poczciwego proboszcza włoskiego, - musiałbym doprawdy przypuścić, młody przyjacielu, żeś padł wówczas ofiarą nader niebezpiecznych halucynacji !

Mówiąc bez ogródek, nie pojmuję, że człowiek taki jak pan, nie mający w sobie ani krzty bujającego w obłokach marzycielstwa,

całkiem serio bierze za dobrą monetę owe upiorne zjawiska, o których nasz kochany, stary bibliotekarz tyle potrafi opowiadać, a nawet twierdzi pan w dodatku, jakoby te rzeczy nie były panu obce !

W ogóle, dalibóg, nie podobna pana nigdy wyrozumieć !

To wydaje się pan do głębi człowiekiem dwudziestego wieku, człowiekiem, którego się słyszy dyskutującego rozsądnie o najrealniejszych zagadnieniach, to znowu można by sądzić, że ma się przed sobą jakiegoś fakira z dżungli indyjskiej, bez najmniejszego pojęcia o świecie, lub też zmartwychwstałego mnicha z celi średniowiecznego klasztoru - mimo że skądinąd nie ma pan doprawdy nic wspólnego z uciekaniem, jak oni, od świata! -

A że Siwobrody, który tymczasem zapalił wirginię, ciągnąc z niej gęste kłęby dymu, wolał widocznie przysłuchiwać się na razie, niż rozprawiać, Młody zabrał głos znowu i powiedział:

- Rozumiem wybornie, że to i owo we mnie może się wydawać panu pełne sprzeczno-

ści, lecz z drugiej strony nie rozumiem znów powodów, dla których człowiek, tak znający życie jak pan, sam pozbawia siebie jasności sądu, gdy chodzi właśnie o wszelką nadzmysłowość; a czyni to, dlatego jedynie, że uważa za pewnik, iż podobnych rzeczy być nie może !

Czemu nie spróbuje pan wniknąć osobiście w te sprawy lub przynajmniej się przekonać, że inni zdobywali dowody niezbite ? !

Moim znów zdaniem taki z góry powzięty sceptycyzm znajduje się w rażącej sprzeczności z innymi cechami pańskiej natury, gdyż dość często wyjaśniał mi pan przecie, że tylko doświadczenie może mieć dlań wartość, jako podstawa dostateczna wszelkiego poznania ! -

Tamten zaś odparł:

- Owszem, gdyby tu można było robić doświadczenia, za każdym razem dające się sprawdzić !

Te sprawy tak się jednak przedstawiają, że do wszystkiego, co pan tu nazywa „doświadczeniem”, potrzeba najosobliwszych przygoto-

wań, a potem nigdy jeszcze nie wiadomo, czy nie zostało się wystrychniętym na dudka !

Poza tym zaś cały kompleks tych doświadczeń wstrętny mi jest do głębi duszy !

W najlepszym bowiem razie jakież jest ich wynik ? ! -

Przyjąwszy nawet, że pan osobiście oraz osoby, na które się powołuje szanowny nasz przyjaciel, rzeczywiście nie zostaliście oszukani, zgodzi się pan chyba, że wszystkie fenomeny, o których mówią nam owe sprawozdania, są nad wyraz nedorzeczne i pozbawione wartości praktycznej !

Cóż mi na przykład po tańczącym stoliku, choćby przy okazji wystukiwał podług alfabetu całe kazania?

Wolę stanowczo stół stojący mocno na nogach, jak ten tutaj, i moim zdaniem więcej odpowiada to naturze stołu, gdy stoi bez ruchu zamiast tańczy

Gdy zaś zechcę posłuchać pobożnego kazania, to każdej niedzieli mam lepszą po temu

sposobność; a jeśli nawet kaznodzieja okaże się przy tym do niczego, to przynajmniej wiem, z kim mam do czynienia!

Niechaj istnieją sobie siły obdarzone świadomością i na żądanie decydujące się skłaniać stoliki do hasania lub wystukiwania bezsensownych objawień - lecz w tym wypadku wypraszam sobie wdzieranie się tych mocy w dobrze obwarowaną sferę mego życia, a gdyby kiedykolwiek miały się one pokusić o jej zakłócenie, nie będąc wzywane, tuszę sobie, że je opanuję!

Lepiej bawić się z dziećmi w „ślepa babkę”, niż samemu przywoływać to paskudztwo, jeśli istnieje ono naprawdę!

A jakże się mają rzeczy ze wszystkimi innymi fenomenami?

Otóż siedzi sobie, według tych opowieści, jakiś nieszczęśnik lub też na pół historyczna nieboga - wasze tak zwane „media” - aż do północy w stanie graniczącym prawie z nieprzytomnością, nad plikiem papieru do pisania, podziwiając w osłupieniu, co gryzmoli automatycznie jego dłoń jako wieść ze „świata

duchów”, czy nawet jako rzekome „objawienie boskie”.

Obejrzany następnie przy świetle całego elaboratu okazuje się przykładowym stekiem komunałów albo już, co najwyżej bigosem z przeróżnych pobożnych rozprawek i na pół przetrawionych okruchów filozoficznych.

W najlepszym bowiem razie jakież jest ich wynik?! -

Muszę wyznać, że w moich oczach wszelkie katusze piekielne, jakie zmyślili sobie nasi praszczurowie, są fraszką wobec okropności pomysłu, ażeby człowiek, mający poza sobą jako tako przyzwoity żywot, gdy już zamknął powieki na zawsze, mógł w taki sposób padać na tamtym świecie ofiarą jakichś indywiduów spośród pozostałych przy życiu, którym zależy na otrzymywaniu podobnych doniesień!

A jest to bluźnierstwem po prostu, gdy podobne banialuki, bałamucąc mózgownice, uchodzą za objawienie boskie!

Do diabła - boć jego to dziecię - z takim „Bogiem”, nie mającym nic lepszego do powie-

dzenia i potrzebującym tych błędnych światełek, aby się objawić!

To zaś, co oczywiście najbardziej panom imponuje: owe psikusy fizyczne i materializowanie kształtów ludzkich, ma dla mnie wagę minimalną, gdyż tutaj mogę też jeszcze zabrać głos jako fizyk. Jeśli już zechcę przyjąć, że nie miały tu miejsca żadne błędy obserwacyjne i że wasze „media” nie uciekały się do oszustw, to w najlepszym wypadku stanę wówczas w obliczu wieści z jakiejś nie odkrytej dotąd dziedziny fizycznego świata, lecz żadną miarą nie będę miał tu do czynienia z „królestwem duchów”!

Jeśli niezdolny jestem pojąć, jak człowiek rozumny i o zdrowych zmysłach może brać poważnie podobne widowiska, odgrywane przez rzekome duchy, nie należy bynajmniej uważać tego za przeczenie zaobserwowanym zjawiskom.

Zastrzegam się tylko przeciwko objaśnianiu tych manifestacji, jako świadectw istnienia jakiegoś świata duchowego; niepojęte zaś jest dla mnie, jak człowiek, obdarzony szczyptą

krytycyzmu, może się tu nie połapać, gdzie Rzym, a gdzie Krym!

Nie jestem doprawdy niewolnikiem dogmatów religijnych, lecz w porównaniu z pomieszaniem pojęć, sprawianym przez ów rzekomo „dający się stwierdzić” zaświat waszych fenomenów okultystycznych - owe legendy pobożne, co poezją i splendorem niebios opromieniały moje dzieciństwo, zdają mi się pełne najczystszej mądrości!

Na jakież stek zabobonów zostaje dziś zamieniona zdrowa, pobożna wiara naszych ojców ! - -

- Jeśli nie zajmuję się zjawiskami okultystycznymi, mój młody przyjacielu, powodem tego nie jest bynajmniej ignorancja, tylko fakt, że te sztuczki są dla mnie zbyt niedorzeczne i że mam coś lepszego do roboty, niż zgłębianie objawień podobnych „duchów” !

Żywię w sobie zbyt szczytne wyobrażenie o duchu ludzkim, bym mógł uważać go za zdolnego do takiego upadku, jaki byłby nieodzowny, gdyby owe teorie miały być słuszne i gdy-

byśmy przy jakichkolwiek zjawiskach okultystycznych mieli do czynienia z duchami byłych mieszkańców ziemi !

Nie jestem teologiem, nie umiem więc obchodzić się z formułkami, przy pomocy których można jakoby poddawać bóstwo analizie, niczym jakiś preparat chemiczny, lecz: wydaje mi się, że czuję w sobie „Boga”, toteż jest dla mnie najohydniejszym bluźnierstwem uważanie za „objawienia boskie” owych głosów, których szepty dochodzą do nas z obszarów natury, tonących w mroku wieczystym, powoływanie się tutaj na biblię i święte księgi innych ludów, jako na rzekomy „dowód”, albo nawet porównywanie geniusza wiary, o ile przejawiał się on w wielkich postaciach religijnych, z jakimiś „mediami” czy somnambulikami!

Wszystko to jest dla mnie zbyt bezsensowne, a że nie dopatruję się w tym żadnej korzyści duchowej dla ludzkości, gdyby zjawiska okultystyczne poczęto badać pod każdym dachem - przeciwnie, wynikłyby z tego, moim zdaniem, nieobliczalne szkody - sądzą więc, że byłoby lepiej dać pokój tym sprawom, tym bardziej, że przecie dość jest jeszcze w na-

turze do zbadania, a nasza własna dusza - to dotąd, nawet dla najmędrszych, księga o siedmiu pieczęciach! - -

Może teraz lepiej mię zrozumiecie, drodzy przyjaciele ! ?

Już w toku tej przemowy można było zauważyć na twarzy Młodego wyraz coraz bardziej się wzmagającej, nieoczekiwanej radości, podczas gdy Starzec od czasu do czasu potrząsał w zadumie głową, zachowaniem swoim zdradzając, że podczas całej dyskusji szukał ze swej strony a r g u m e n t ó w , by nie dać się zbić z własnego stanowiska.

Ledwie przebrzmiały więc ostatnie słowa, Starzec przystąpił do repliki:

- Takie zapatrywanie się na te sprawy, - jego zdaniem, - można by oczywiście zrozumieć, jakkolwiek byłyby też zapewne do postawienia i różne zarzuty - jednakże wszystko, co tu było powiedziane, dotyczy wyłącznie tak zwanego „spirytyzmu”, gdy tymczasem - o czym przyjaciel jego nie wie najwidoczniej - prawdziwie naukowy okultysta staje wobec wszystkich tych fenomenów jedynie w roli ob-

serwatora i jeśli ma być brany poważnie, musi odrzucać na razie wszelkie hipotezy stawiane przez innych dla wyjaśnienia tych zjawisk.

Wszak różni bardzo poważni uczeni badali u somnambulików zjawiska, przy których nie podejrzewali „duchów” o współdziałanie nawet najmocniej wierzący w duchy „spirytyści”.

I ciągnął dalej swe rozumowania w ten sposób:

- Moim zdaniem, co się tyczy „duchów” ludzi zmarłych lub owych „objawień boskich”, które w ten sposób ma się jakoby otrzymywać, ma pan słuszność zupełną; jednakże - czy nie jest rzeczą możliwą, a nawet w najwyższym stopniu prawdopodobną, że okultyzm powołany jest do tego, aby już w życiu obecnym dowieść z całą oczywistością istnienia duszy ? !

Robiono na przykład doświadczenia z wypytywaniem somnambulików w głębokim uśpieniu i okazywało się, że można było dotrzeć w ten sposób do coraz tajniejszych dziedzin jaźni, przy czym jakaś inna, wyżej stojąca istność, a później jakaś jeszcze znacznie wyżej stojąca przemawiała przez usta somnambuli-

ków; toteż otrzymuje się wrażenie: że im bardziej przyćmiona jest świadomość zewnętrzna, tym wyraźniej objawia się coś innego, co w zwykłym życiu codziennym jest niedostrzegalne.

W ten zaś sposób byłby zdobyty, że tak powiem, całkowity dowód istnienia duchowości, trwającej poza życiem ziemskim !

Na to pośpieszył z odpowiedzią Młody i oświadczył:

- Znajduję się w tym szczególnym położeniu, że co się tyczy rzeczy, o których tu mówimy, uzyskuję podtrzymanie u panów obu; tym niemniej widzę, że będę musiał wyłożyć panom swe stanowisko wyraźniej niż dotychczas, jeśli nie mamy powracać bez końca do tego samego !

Przede wszystkim chciałbym oświecić bliżej dopiero co wspomniane doświadczenia z somnambulikami, a jeśli wykażę przy tym pewną bliższą znajomość rzeczy, uważanych przez większość ludzi za nie dające się udowodnić, przeżyć ani objaśnić, to proszę was, panowie, przyjmijcie to tymczasem na wiarę, zanim nadejdzie chwila, która pozwoli mi po-

mówić z wami o źródle mego poznania i powiedzieć pewne rzeczy, które by musiały pozostać wam całkiem nieznanymi, gdyby nie zdarzyła się wam sposobność usłyszenia ich od kogoś, kto sam tych rzeczy doświadczył. –

Co się więc tyczy somnambulików, muszę i ja przedstawić się jako rzeczoznawca i jak najenergiczniej przeciwstawić się pogładowi, jako byśmy stali tu u furty do misterium ducha !

Dowodzi to tylko, że ludzie nie mają naj-słabszego pojęcia, czym jest duch w rzeczywistości, że nie rozporządzają dotychczas żadnym prawdziwie duchowym doświadczeniem, jeśli sądzą, że to coś, co papie przez usta jakiejś porażonej w uśpieniu somnambuliczki, może być rzeczywistym duchem! - -

Zgadzam się ze wszystkim, co przed chwilą było powiedziane o niedorzeczności fenomenów okultystycznych, i jawną było pomyłką posądzanie mnie o to, że sprzyjam zajmowaniu się podobnymi manifestacjami bądź czynnie, bądź choćby w charakterze obserwatora.

Dla tego, komu dane było przebyć to przeszkolenie duchowe, jakie mnie przypadło

w udziale, zagadki o k u l t y z m u straciły wszelki urok ! W trakcie tego szkolenia nimb tajemniczości i niepojętności został z nich zdarty do szczeru ! - -

Jeśli zaś mimo to przykładam pewną wagę do sprawy uznania prawdziwości zjawisk okultystycznych, płynie to stąd, że bez tych wiadomości można narazić się pewnego pięknego wieczoru na niebezpieczeństwo, iż padnie się ofiarą oszukaństwa w sposób najfatalniejszy i to tam właśnie, gdzie się tego najmniej spodziewało. -

Bardzo rad jestem, że rozmowa nasza przybrała ten nieoczekiwany obrót dzięki wypowiedzianym przed chwilą konkluzjom trzeźwego umysłu, które zgadzają się niemal całkowicie z moimi doznaniem duchowymi - a w każdym razie dają się bez trudu pogodzić z wynikami mojego doświadczenia.

Teraz mogę mówić do panów, że tak powiem, z podniesioną przyłbicą, nie potrzebując chyba żywić obaw, że mógłbym zostać źle zrozumiany...

Co się więc tyczy somnambulików, z których ust ten i ów ma nadzieję dowiedzieć się czegoś bliższego o duszy i duchowości człowieka, to podejmowane z nimi eksperymenty nie różnią się w niczym istotnym od jakiegoś seansu „spirytystycznego”, chyba że za rzecz istotną uważać ich inscenizację naukową! --

Są to te same niewidzialne jestestwa fizyczne i siły obdarzone świadomością, tak tu jak i tam dopuszczające się wybryków, skoro tylko człowiek ziemski dostarczy im po temu sposobności. - -

Somnambulik w głębokim uśpieniu jest tak samo chwilowym łupem owych ciemnych mocy, działających zaprawdę „poza dobrem i złem”, jak i tak zwane „medium” w stanie „transu”! - - -

N i g d y n i e sięgnie wzrokiem w r z e c z y w i s t e światy ducha, kto patrzy w ten sposób, w stanie przyćmienia świadomości zmysłów ziemskich! -

Ekstaza, zachwycenie, „trans” i s o m - n a m b u l i z m nie są niczym innym, tylko stanami cielesnego wzburzenia; im bardziej

zaś przy takim wzburzeniu władza zwierzchnia przechodzi na kompleksy cielesne, które z natury swojej mogą działać zbawiennie jedynie trzymane w mocnych cuglach, tym głębszy będzie stan somnambuliczny, tym ściślejsza przegroda, oddzielająca właściwą świadomość jaźni od czynności mózgowych, póki ostatecznie istoty lemuryczne niewidzialnego, lecz bynajmniej nie „duchowego” świata nie narzuca swej woli bezpańskiemu organizmowi cielesnemu !

Usłyszymy wtedy z ust somnambulika, zarówno jak i mówiącego w transie, za każdym razem rzeczy, mające na celu zainteresowanie eksperymentatora lub zaimponowanie gromadzie wierzących bądź szlachetnym patosem, bądź też trywialnymi, ale przystosowanymi do panującego kierunku religijnego frazesami, a choćby nawet sprośnością. - -

To coś, co w podobnych stanach gada przez usta zamroczonego nieszczęśnika, zmierza nie do czego innego, tylko do zwrócenia na siebie możliwie najbaczniejszej uwagi i potrafi też nieraz z największą przebiegłością przybierać maskę, zdolną zapewnić mu maksimum ludzkiego zainteresowania. - -

Również i e k s t a t y k przeżywa ten sam stan, co i tak zwane „media”, z tą tylko różnicą, że jego świadomość nie traci całkowitego kontaktu z czynnościami mózgu, a tylko zewnętrzna, cielesna wrażliwość ulega w nim przytępieniu.

Owe światy „duchowe”, przezeń jakoby oglądane, nie są niczym innym, tylko tworamii jego plastycznej wyobraźni, które stają się dlań uchwytnie i rzeczywiste dzięki wibracjom spazmatycznie rozhuśtanych nerwów! - -

Toteż należy utrzymać ścisłą linię graniczną pomiędzy wszystkimi podobnymi metodami budzenia anormalnych odczuwań cielesnych, branych później za przeżycia „duchowe”, a rzeczywistym doświadczeniem duchowym, następującym wyłącznie w stanie niczym niezmaconej, a nawet spotęgowanej świadomości ciała! - - -

Tak zwany „o k u l t y z m” nie jest też doprawdy wcale odkryciem nowszych czasów!

U wszystkich ludów i po wszystkie czasy znane były zjawiska okultystyczne.

Nikt jednak nie wstąpił jeszcze w tę mroczną dziedzinę - chyba że za przewodem pewnym swojej władzy - kto by nie został wystrychnięty tam na dudka!- -

Dla zapoznania się z istotnym d u c h e m jednostka taka zazwyczaj stracona jest na zawsze.

To, co ją trzyma na uwięzi, już jej nie wypuści dobrowolnie, a jeśli w końcu poniechać jej musi, jako że stopniowo została do cna wyszana i już się na nic nie zda, to przedtem ogołocona będzie ze wszystkich sił, dzięki którym mogłaby się dźwignąć na nowo. -

Jeśli wy obaj, drodzy przyjaciele, sądziliście dotąd, jakoby m hołdował „o k u l t y z m o w i”, badaniu tych wszystkich fenomenów, o których wspomnieliśmy w naszej rozmowie, a którymi dziś w różnych krajach zajmują się istotnie wybitni uczeni, to byliście w wielkim błędzie!

Lecz musiałem zapoznać się niegdyś i z t ą dziedziną przejawów życia ludzkiego, gdyż mój guru wymagał tego ode mnie.

- Co to jest: „mój guru”? - przerwał Fizyk przedmówcy, któremu tak zwykły dlań wyraz wymknął się oczywiście mimo woli.

- Oświadczam, - odrzekł Młody, - że nie jestem biegły w sanskrycie, ale ten, kogo nazywam „guru”, opowiadał mi pewnego razu, że w jego ojczyźnie tak zwa mistrzów rozwoju duchowego i duchowego przebudzenia.

Guru ma oznaczać niejako duchowego „ojca”, czyli tego, który udziela „nauk ojcowskich”.

Mnie zwał on „czela”, a jakkolwiek na ogół biorąc mogłoby to oznaczać nie co innego, tylko „ucznia”, objaśnił mię, że tego zaszczytnego tytułu dostępowali zaledwie nieliczni i że trzeba być uczniem swego guru w sposób szczególniejszy, aby z wszelką słusnością uważać się za jego przybranego „czele”.

On sam był mistrzem „Białej Łoży”.

- A więc wolnomularzem ? - wtrącił Starzec.

- Ależ bynajmniej, - odparł Młody.

- Wolnomularstwo - jeśli się nie przycepić do wyrazów, ale uwzględniać sedno sprawy - mogłoby mieć niejaką podstawę do wywodzenia się od „Białej Łoży”, wszelako społeczność duchowa, z której pochodził mój guru, nie ma nic wspólnego z wolnomularstwem. Zresztą „Biała Łoża” to tylko zewnętrzna nazwa tej społeczności, a jej członkowie sami zowią siebie „Jaśniejącymi Praświatłem”. -

Nikt nie może do nich przystąpić, kto już przed urodzeniem swoim nie był do tego przeznaczony. Tych zaś, którzy sami do nich nie należąc, duchowo są im najbliżsi, zowią oni „przybranymi czelą”.

Są to jednostki mające odbyć szczególnie intensywne przeszkolenie w duchowości, a to z tego względu, że noszą w sobie pewne dziedzictwo psychofizyczne, zobowiązujące je do pewnych rzeczy, które innym nie obowiązują.

Zwolnijcie mię, panowie, od dalszego rozwodzenia się na ten temat, gdyż, jak już przecie słyszeliście, macie przed sobą jednego z takich czelą. -

Sądzę, że wobec tego zwierzenia te i owe rzeczy, które was czasem we mnie dziwiły, mogłyby się obecnie stać jasne ! -

Uczyniwszy przyjaciołom tak osobliwe i niesłychane zwierzenie, Młody zatrzymał tu tok swego przemówienia. Nastąpiła zrazu cisza głęboka, tak iż padrone - sądząc zapewne, że goście zamierzają już odejść - wynurzył się znowu z kryjówki, a spostrzegłszy swą pomyłkę, jał się krzątać z nadmierną gorliwością koło baryłek, spoczywających rzędem w głębi izby na kobyłkach z bali.

Można było obecnie najwyraźniej rozemnać wszystko w sklepionej izbie, gdyż oczy tak przywykły do ciemności, że nawet wąziutka smuga światła, przekradająca się przez portierę, raziła wzrok wędrowców, chociaż słońce już się zniżyło na niebie i na dworze rzucało od dawna wydłużone cienie.. -

- Słyszymy tu rzeczy wprost nadzwyczajne ! - zaopiniował Grubas, którego wiek można by określić bez mała na pięćdziesiątkę, - i w ten sposób donośnym swym basem uronił w ciszę znowu pierwsze słowa.

Po czym ciągnął dalej:

- Co prawda niektóre rzeczy stały mi się w panu odtąd bardziej zrozumiałe, lecz będą wymagały jeszcze pewnych wyjaśnień, nim to wszystko jakoś ułoży mi się w głowie !

Otóż mówi pan z niesłychaną pewnością o tylu rzeczach dla mnie dotychczas zgoła nie dostępnych, lecz najpiękniejsze jest to: - że pan właściwie mnie przekonał, nie przedstawivszy mi dowodów !

Czuję, że z tym wszystkim musi być tak, jak pan twierdzi, bez względu na to, czy pan jest w stanie poprzeć twierdzenia swoje dowodami, czy nie.

Słowa pańskie tchną same przez się jakąś szczególną siłą dowodową ! - -

Lecz teraz dopiero wszystko to zaczyna być dla mnie i n t e r e s u j ą c e !

I s t n i e j e więc coś podobnego za dni naszych, wśród naszego zniwelowanego świata? ! -

Wie pan, młody przyjacielu, musi pan powiedzieć nam o tym coś więcej!

Nie sędzę, co prawda, aby ktokolwiek z nas był przeznaczony na to, by zostać „czelą” takiego „guru”, jak zwie pan swego mistrza, a może też jesteśmy na to obaj cokolwiek za starzy, lecz co do mnie, zanim pożegnam kiedyś tę planetę, która właściwie zawsze wydawała mi się wcale miłą i powabną, radbym tymczasem - jeśli takie rzeczy mogą tu się zdarzać - do pewnego stopnia zapoznać się z nimi, gdyż wszystkie zjawiska okultyzmu razem wzięte ani na jedną chwilę nie zainteresowały mię tak mocno, jak owa ukryta „B i a ł a L o ż a”, czy jak tam to stowarzyszenie się nazywa, a następnie fakt, że można napotkać zupełnie normalnego Europejczyka, który tak sobie całkiem po cichu zdaje się posiadać możliwości poznawcze, o których reszta rodzaju ludzkiego - przynajmniej u nas i w czasach dzisiejszych - nie ma właściwie żadnego pojęcia. –

I ja również, - odezwał się Siwobrody, - usilnie proszę o udzielenie nam dalszych wyjaśnień - zwłaszcza że w świetle wysłuchanych wywodów pewne wskazówki, na które przypadkowo natrafiłem w odnośnej literaturze,

tracą w mych oczach swój dotychczasowy, tylko symboliczny charakter !

Dzięki wspólnej podróży wspólnym wy-
wczasom, którym zamierzamy tu się oddawać,
młodszy nasz kolega spędzi teraz pewien czas z
nami, tak iż zdarzy się pewno sposobność wta-
jemniczenia nas nieco głębiej w misteria, któ-
rym zawdzięcza on swe wiadomości !

Na razie wydaje mi się wskazane pomy-
śleć o powrocie do domu, bo chociaż słońce już
nie przypieka tak dotkliwie, czeka nas jednak
półtoragodzinną wędrówką do miasta. -

A może po drodze usłyszymy coś niecoś,
co by mogło uzupełnić już udzielone nam wia-
domości? Co do mnie, mam właśnie parę zu-
pełnie konkretnych pytań na sercu.

Ponieważ pozostali wędrowcy zaaprobo-
wali projekt niezwłocznego powrotu do miasta,
uściwszy więc należność, przyjaciele opuścili
mroczną gospodę wśród nieustających czoło-
bitności ze strony padrone, obsypującego ich
życzeniami pomyślności i wyrażającego nadzie-
ję ujrzenia gości ponownie.

Wędrowcy mimowolnie odetchnęli, gdy nieco ochłodłe powietrze przedwieczora musnęło ich czoła.

Kraina cała rozpościerała się jakby pod mgłą przejrzystą, mieniającą się barwami opalu; sylwetki pinii i cyprysów odcinały się ostro na blado-złocistym tle przedwieczornego nieba, a niedalekie morze, lśniąc niby wewnątrz olbrzymiej konchy perłowej, zlewało się w ledwie dostrzegalną linię horyzontu z mleczno-błękitnym przestworem bez końca.

Wędrowcy skierowali się z początku ku grupie eukaliptusów na rozstaju dwu szlaków, z których jeden, bity gościniec, wiódł do miasteczka przez pola i gaje oliwne, wśród nieprzerwanych girland winorośli, rozpiętych od wiązu do wiązu, od morwy do morwy, podczas gdy drugi, dla pieszych przyjemniejszy, a w dodatku krótszy, biegł najpierw ku morzu, by potem wzdłuż wybrzeża, częściowo po bruku z niepamiętnych czasów, częściowo zaś przez wydmy i morszczyzny, dotrzeć do pierwszych murów parkowych, opasujących wille podmiejskie z górującymi nad nimi cyprysami.

Jakby za umową, przyjaciele skręcili na prawo, na drózkę dla pieszych, wdychając ze wzrastającą rozkoszą coraz silniej dający się wyczuwać ostry, rzeźwiący zapach morza.

Dotarłszy do wybrzeża, wędrowcy mimowolnie przystanęli, w wieczyście nowym przeżywaniu nieskończoności, przed lśniącem jak atlas bezkresem wód. -

Aż dotąd padały ledwie pojedyncze słowa, wywołane przez wieczorną zmianę krajobrazu lub sławiące urok całej tej krainy, południowy przepych włoskiego pejzażu.

A gdy następnie wędrowcy udali się drogą wzdłuż wybrzeża, przypomniał sobie Siwobrody swe pytania, dotyczące się niezwykłych wynurzeń Młodego - wynurzeń, dzięki którym to popołudnie w wiejskiej gospodzie zdało mu się bodajże cenniejsze od jakiejś wygrzebanej na świat boży, dawno zaginionej starożytnej księgi, lubo w pogoni za takimi skarbami przetrząsał bezustannie wszystkie dostępne dlań ksiąźnice, wciąż bowiem w skrytości ducha był przekonany, że nie masz poznania kiedykolwiek zdobytego przez człowieka, którego by nie zapisano w jakiejś księdze.

I dziś dopiero zakiełkowały w nim pewne wątpliwości, jednak niezdolne jeszcze zachwiać jego poglądem.

A może istniała księga rzucająca światło na to wszystko, jeno dotychczas do rąk jego nie trafiła ?...

ROZMOWA NA WYBRZEŻU

- Proszę mi wybaczyć, szanowny panie kolego, - zwrócił się Starzec do Młodego, - lecz niewątpliwie wszystko, o czym pan nam dziś mówił, musi posiadać specjalną swą literaturę, która dotychczas jakoś mi się wymykała mimo najskrzętniejszych poszukiwań ? !

A spotkawszy się na to pytanie z pełnym zdumieniem spojrzeniem Młodego, ciągnął dalej:

- Nie myślę, oczywiście, by miała to być jakaś specjalna literatura współczesna, lecz wszak to wszystko było już bez wątpienia znane ludziom epok dawniejszych, muszą więc istnieć jakieś księgi, mogące dać dokładniejszą w tych sprawach orientację?

Zabrałbym się jeszcze na schyłku lat do studiowania sanskrytu, czego niestety dotąd zaniedbałem w nawale innych studiów, gdyby pan w tej materii potrafił mi udzielić na początek jakichś wskazówek, może przy pomocy swego mistrza ze Wschodu! - Co do samych książek, to już potrafiłbym się o nie wystarać.

Wszak wszystko, co kiedykolwiek zaprzętało umysł ludzki, znalazło swój wyraz w księgach, a przy całym zaufaniu, jakie żywię dla pańskich wywodów, miałoby dla mnie niesłychane, nieocenione wprost znaczenie, gdyby to, co pan nam powiedział, dało się poprzeć nie budzącymi wątpliwości ustępami dawnych tekstów, znajdując w nich, że tak powiem, miarodajne potwierdzenie!

Można mówić, co się komu podoba, lecz twierdzenie jednostki jest niejako zawieszona w powietrzu, i dopiero wiedząc, jak je quasi historycznie zarejestrować, można sobie wyrobić o nim sąd należyty! –

W toku tej przemowy zdumienie w wyrazie twarzy Młodego, już wielkie od początku, spotęgowało się jeszcze bardziej, i nim drugi towarzysz, mający widocznie również replikę na końcu języka, zdołał dojść do słowa, Młody zaczął z ledwie ukrywanym ironicznym uśmiechem:

- Sądzi pan zatem, jeśli dobrze pana rozumiem, że w naszym życiu ziemskim nie wolno przeżywać nic takiego, co by nie było do przeżywania d o z w o l o n e dzięki temu, że już dawniej ktoś zajął w tej materii stanowisko ? ! ?

Tu Starzec mu przerwał:

- Skądże znów, młody przyjacielu, niech pan nie ujmuje mych słów w ten sposób !

Lecz sam pan wie przecie, że wszelkie zdobycze naukowe dopiero wtedy naprawdę nabierają znaczenia w naszym świecie, gdy mogą się oprzeć na autorytecie znanych poprzedników!

- Nawet w odniesieniu do tego, co zwie się „nauką”, odparł Młody, - nie powinien pan uogólniać tego twierdzenia, mającego zresztą pewne podstawy!

W tym jednak, o czym dziś panom mówiłem, nie chodzi bynajmniej o żadną „naukę” ani „wiarę”, lecz o coś, co po prostu jest dane praktycznie i co praktycznie przeprowadzać trzeba, jeśli się chce osiągnąć jakieś rezultaty ! - -

Muszę niestety dać odpowiedź przeczącą na pytanie pańskie o jakąś dawniejszą literaturę, traktującą o tym przedmiocie!

Wprawdzie nawet nie będąc przybranym czela żadnego prawdziwego guru, mógłby się pan natknąć na bardzo doniosłe potwierdzenia mych

słów w niektórych skryptach starożytnych, zwłaszcza zaś w świętych księgach wielkich religii świata, gdyby pan zechciał kierować się naukami „Białej Łoży” i poddać się jej niewidocznemu przewodnictwu, daremnie jednak przetrząsałby pan świat cały w poszukiwaniu księgi, w której by zanotowano całokształt tej nauki !

W n a s z y c h dopiero c z a s a c h odczuto potrzebę powierzenia p i s m u wspomnianej tu nauki na użytek całej przyszłości, aby tym sposobem po raz pierwszy dać wejrzeć światu w działalność „Białej Łoży” za sprawą pewnego E u r o p e j c z y k a , który sam należy do o w e j s p o ł e c z n o ś c i i który otrzymał wyraźne zlecenie głoszenia tej nauki pod rozmaitymi postaciami. —

Gdy tylko pański sposób myślenia będzie do tego dostatecznie przygotowany, zdoła pan rozpoznać te księgi i korzyść z nich wyciągnąć. - Nie grozi tu bynajmniej niebezpieczeństwo żadnej pomyłki, zwłaszcza jeśli pan przyswoi sobie wszystko, co wolno mi będzie powiedzieć mu jeszcze podczas naszego tu pobytu! Poza tymi zaś informacjami o „Jaśniejących”, udzielonymi przez nich samych, spotka się pan tylko z uzyskanymi podstępem i przekreślonymi wiadomo-

ściami o mistrzach „Białej Łoży”, z niesamowitym bigosem i świadectwami fantastów z nieprawdziwego zdarzenia! - -

W ten sposób naszkicowany został wręcz karykaturalny obraz tej czcigodnej społeczności duchowej, mącający szczególnie mózgi zachodnie, skierowujący je na fałszywe tropy i czyniący ofiarą czczych zabobonów. Toteż „Biała Łoża” uznała, że pora wystąpić przeciwko tym niedorzecznościom; że zaś nigdy nie zwalcza ona nic szkodliwego, aczkolwiek zwykła po imieniu je nazywać, przeciwstawiła się więc tym urojeniom tylko w ten sposób, że jednemu ze swych członków, posiadającemu niezbędne po temu warunki, poleciła przedstawić prawdę oczom wszystkich!

Gdy Młody skończył, a Siwobrody najwidoczniej nie miał zamiaru występować z repliką, trzeci towarzysz, który podobnie jak Starzec przysłuchiwał się dotychczas z największą uwagą, zabrał głos i zaczął w ten sposób: - A zatem i w Europie znajdują się członkowie pańskiej „Białej Łoży”, byłoby więc rzeczą najprostszą odszukać którego z nich i posłuchać jego nauki ?!

- Pomijając już okoliczność, odparł Młody, - że żaden z członków „Białej Łoży” nie powiedziałby panu więcej, niż według jego opinii może pan znieść tymczasem - pomijając również to, że wcale nie potrzebuje pan dopiero poznawać jakiegoś mistrza „Białej Łoży”, by móc się jego wpływowi poddać, a nawet że taka znajomość zewnętrzna dla jednostki niedostatecznie jeszcze umocnionej mogłaby być raczej szkodliwa niż korzystna - mówiłem tylko o jednym jedynym Europejczyku będącym członkiem „Białej Łoży”!

Prócz niego, człowieka podobnego nam i unikającego niemal lęklonie wszelkiego takiego zachowywania się w życiu codziennym, które by go różniło od innych osób jego stanu i środowiska, nie spotka pan dzisiaj żadnego innego członka „Białej Łoży” poza Azją, chyba w Afryce Północnej i Arabii ! –

- Wszak nie chce pan przez to powiedzieć, odrzekł Siwobrody, - że Mistrz ten przebywa w jakimś mieście europejskim, wśród naszego świata, poddając się konwencjonalnym jego obowiązkom, że hołduje naszym zwyczajom i znajduje upodobanie w uciechach życiowych, których by nam, że tak powiem, brakowało, gdybyśmy byli zmuszeni bez nich się obywać, - słowem: że try-

bem swego życia Mistrz ten nie różni się w niczym od żadnego z nas ?! -

- To właśnie chciałem podkreślić swymi słowami, odpowiedział Młody, - lecz pytanie pańskie świadczy, że i pan potrafi wystawić sobie mistrzów „Białej Łoży” tylko w aureoli jakichś półbogów i byłby pan bez wątpienia niemało zdziwiony, spotkawszy k t ó r e g o ś z nich gdzieś w głębi. A z j i i widząc go, jak niczym patriarcha biblijny, otoczony czternaściorgiem dzieci i całą czeredą wnuków, wciąż krzepki jeszcze i rześki, trudni się swym kunsztownym rzemiosłem i żyje w wielkim dostatku, który zawdzięcza swym zdolnościom artystycznym i umiejętności spieniężania swych wyrobów.

--

Tak samo, jak już mówiłem dzisiaj, że p r a w d z i w e poznanie duchowe raczej z a o s t r z a świadomość zmysłów zewnętrznych, niżli ją przytępia, tak też muszę tu panom powiedzieć, że jednostka o najwyższym, w ogóle tylko pod pewnymi warunkami m o ż l i w y m na ziemi poznaniu duchowym nie będzie też bynajmniej niedołączna w życiu zewnętrznym, lecz tym bardziej potrafi wykorzystać najintensyw-

niej zdolności, jakimi na to życie obdarzyła ją sama natura!

Musiałyby to być jakaś żalosna „duchowość”, gdyby od obdarzonego nią człowieka wymagała wyrzeczenia się przyjemności życiowych, nie zasługujących na wyraźne potępienie ze względów etycznych, byle tylko nie wystawiać tej duchowości na żadne niebezpieczeństwo! –

Wszystko, co można uzyskać za cenę takich wyrzeczeń się i ofiar z przyjemności doczesnych, nie ma absolutnie nic wspólnego z duchem istotnym!

Jest to właśnie cechą charakterystyczną tych, co się zbudzili i ożyli w duchu, że nie różni ich od współczesnych i rodaków nic szczególnego w postępowaniu ani w trybie życia, że żyją jak wszyscy inni godni szacunku ludzie, stojąc z dala od wszelkich idei naprawiania świata, gdyż wiedzą doskonale, że nie masz takiej formy życia ludzkiego na ziemi, która by zdolna była przeszkodzić czło-

wiekowi przebudzić się duchowo, że raczej można mu w tym przeszkodzić przez nadmiar troskliwości o formy ziemskiego współżycia, choćby troskliwość ta z najszlachetniejszych płynęła pobudek! -

- Wszystko to, wtrącił Fizyk, - brzmi zupełnie tak, jakbym tego oczekiwał, gdyby uprzednio było mi cokolwiek wiadomo o istnieniu takich wcielonych ludzi ducha !

Jeśli mię coś odpychało, a nawet budziło odrazę do konwentykli naszych czasów, utrzymujących, że wiodą swych zwolenników do ducha, to właśnie ów niewysłowny lęk tych poczciwców przed każdym dobitnie wyrażonym przejawem życia!

Co mi po jakimś „duchu”, czyniącym ze swych adeptów podszytych zajęczą skórką tchórzów, ledwie ośmielających się włożyć do ust jakiś kąsek bez obawy, że mógłby zaszkodzić ich rozwojowi, i doszukujących się w każdym postępku ludzkim ukrytych sideł szatana!

Natomiast muszę oświadczyć, że pańska „Biała Łoża” zaczyna mi się coraz więcej podobać!

Nie jest to dla mnie niczym tak znów niesłychanym, że ludzie mogliby porozumiewać się ze sobą przy pomocy jakichś drgań eteru czy czegoś podobnego, a choć dotychczas nie przeżywałem tego w charakterze uczestnika, jednak nie jestem tak znów ograniczony, by wręcz możliwości tej zaprzeczyć, zwłaszcza gdy potwierdza mi ją ktoś, o kim, jak o panu, młody przyjacielu, wiem doskonale, że facecjonistą nie jest, posiada zaś dostateczną dozę samo-krytycyzmu, by nie pójść na lep tych czy innych sztuczek !

Lecz przyjąwszy możliwość podobnego komunikowania się duchowego przy pomocy jakiegoś hipotetycznego wibracyjnego podłoża - mimo woli przychodzą mi tu na myśl fale Hertza - mógłbym też pojąć takie przyłączenie się do pewnego rodzaju centrali ziemskiej owych ludzi ducha, a gdyby ono było do urzeczywistnienia, byłoby dla mnie w najwyższym stopniu pożądane, skoro powoduje podobne rozszerzenie poznania, jakie spostrzegam dziś u pana. –

Może wolno mi będzie zapytać teraz bez ogródek, jak pan sam uzyskał to połączenie i czy ktoś z nas może je zdobyć w ten sam sposób, bez względu na to, czy kwalifikuje się na „czele”, jak pan, czy też nie?!

Powiedział pan przecie, jeśli się nie mylę, coś w tym sensie, że każdy, jak to się zwykło mówić, przyzwoity człowiek może się włączyć w obwód prądu, przepływającego przez tych Mistrzów, ludzi ducha, czy jak tam się zowią?!?

Sprawa nabiera przez to wielkiego znaczenia praktycznego, a przynajmniej co do mnie pragnąłbym bardzo poznać warunki, w jakich coś podobnego dałoby się uskutecznić.

- Tę samą prośbę chciałbym wyrazić i ja, dodał Siwobrody, którego łatwo można by było wziąć za sędziwego syna Wschodu, gdy stał tak o zmierzchu na tle krwawiącego teraz miedzianym blaskiem nieba, jakkolwiek przodków jego należało szukać w Bretanii. –

- Chętnie uczynię zadość waszej prośbie, szanowni przyjaciele, oświadczył najmłodszy z trójki, - lecz wątpię, bym mógł powiedzieć panom

coś istotnego jeszcze tego wieczoru, gdyż chcąc zapoznać was naprawdę ze wszystkim, czego ostatecznie będziecie musieli się dowiedzieć, aby mieć podstawę do wyrobienia sobie własnego sądu, zmuszony będę poświęcić tej materii jeszcze niejedną godzinę; a może będzie też z pożytkiem, jeśli wezmę do pomocy dawniejsze zapiski z mego dziennika, dla mnie tak cenne - chciałbym rzec niemal: tak święte - że stale mi towarzyszą we wszystkich podróżach.

Rad jestem z całego serca, że te sprawy wzbudziły zainteresowanie panów i że odtąd wolno mi będzie mówić z wami zupełnie otwarcie i o tych też rzeczach, gdyż odczuwałem to zawsze z przykrością, że mimo całą serdeczność naszych stosunków, będącą nawet podłożem tej wspólnej podróży, zawsze miałem coś przed wami do ukrywania. —

Lecz pojmują chyba panowie, że o tych rzeczach nie mówi się więcej, niż wymaga tego konieczność, dopóki jeszcze należy przypuszczać, iż każde oświadczenie w tym rodzaju może wzniecić w innych obawę, że mają do czynienia z kimś, komu brak piątej klepki! —

Po tych słowach zgodzono się w końcu, że najlepiej będzie przeznaczać odąd możliwie codziennie kilka spokojnych godzin, aby na powietrzu, pod jasnym słońcem Południa, przysłuchiwać się wszystkiemu, co czela mógłby mieć do powiedzenia o rzeczach, które mu zostały wyjaśnione.

Tak rozmawiając wędrowcy weszli między wysokie mury ogrodów po obu stronach drogi, przerywane od czasu do czasu przez wyniosłe portale o łukowatych liniach, obramiające kunsztownie wykute, dawno przerdzewiałe kraty, poprzez które widać było filigranowe sylwety smukłych oleandrów, nieprzenikliwą ciemną gęstego listowia wawrzynów, a czasem i fontannę, wciąż jeszcze szmerzącą w ciszy wieczoru.

Dalej ciągnęła się wąska uliczka, nie mająca chyba końca, jakby wtłoczona między wysokie ściany domów, wyglądających jak warownie, tak iż w górze jedynie, niby skroś wąski wylot studzienny, można było jeszcze dojrzeć obramowany poszarpanymi wyskokami dachów pasek nieba, na którym tu i ówdzie zabłysły już pierwsze gwiazdy.

Ciszę, wśród której stąpali dotąd wędrowcy, jęły rozdzierać coraz gęściej donośne wołania, skrzyp dwukółek i strzępy wesołych rozmów, dochodzące z oświetlonych już sklepów; ten i ów z synów Południa, zadowolony z dziennej pracy, nucił falsetem popularną melodię; coraz więcej przechodniów tłoczyło się przez czełuś uliczki, aż niemal niespodzianie wędrowcy znaleźli się na rojącym się od ciżby ludzkiej majestatycznym rynku niewielkiego, ale ludnego południowego miasta.

Przeobfite skarby sprzedawców owoców dosłownie się wylewały z wnętrza hal; rzucały się w oczy rzeźbiście oświetlone fryzjernie, niemal całkowicie wyłożone błyszczącymi lustrami; obok nich wystawy, pełne barwnych wstążek jedwabnych, inne znów z apetycznie spiętrzonymi wędlinami, serami wszelkiego rodzaju i całym arsenałem długoszyjnych butelek Chianti; dalej widniała „farmacja” z wejściem, opatrzonym po bokach dwoma przesadnie wysokimi, wąziutkimi oknami wystawowymi, z których jarzyły się do przechodniów olbrzymie banie szklane, jedna napełniona jakimś płynem czerwonym, druga zaś - zabarwionym na zielono. Nie brakło wreszcie i nieuniknionego „kina”, którego jaskrawe afisze, oświetlone z nieprawdopodobnym

trwonieniem światła, brutalnie szpeciły wykwintny portal renesansowy.

Wśród wszystkich tych wspaniałości można było dostrzec tu i ówdzie kawiarnie, których stoliki i krzeselka tłoczyły się hen, niemal do środka placu, punkt zaś centralny stanowiło coś w rodzaju obelisku, strzelającego w górę z rozkołysanych, barokowych brył pośród szumiących wodotrysków. Wierzchołek obelisku, o ile można było jeszcze rozpoznać, wieńczyła Madonna w promiennej otoczy z metalu, stojąca na sierpie księżyca.

Jedna tylko, węższa strona „piazza” tonęła w pomroce. Wznosiła się tam potężna budowla o płasko zakończonych szczytach, z której rozwartych podwoi biło czerwone światło i blask świec, przesłaniane tylko od czasu do czasu przez ciemne postacie wchodzących i wychodzących osób.

Tuż obok strzelała w jasne niebo, bogato już ugwieżdżone, smukła campanila, której dzwony, zawieszone hen w rozwartym kolisku łuku najwyższego piętra, można było wyraźnie rozpoznać przed nastąpieniem wieczornego mroku.

Tu odłączyło się dwóch przyjaciół od trzeciego, gdyż nie wszyscy mieszkali w tej samej gospodzie, nie mieli zaś zamiaru walczyć tego wieczora z przyjemnym znużeniem, aby dłużej jeszcze pozostać razem.

SAN SPIRITO

Zgodnie z umową z przede dnia trójka przyjaciół opuściła miasteczko wczesnym porankiem i udała się na zwiedzenie niezbyt odległego klasztoru, panującego nad wzgórkowatą okolicą niby symbol jakiś wzniesiony wysoko na odosobnionym stożku skalnym. Jakoż wyglądał on raczej na obronne zamczysko, niż na przybytek modlitwy i pokoju.

Tam, na wierzchołku góry, miano się rozkoszować precudnym widokiem na całe pasmo wzgórz, usianych malowniczo rozrzuconymi wioskami i miasteczkami, oraz na morze, ujęte hen daleko w rąbek wybrzeża rozległej zatoki.

Że jednak wejście, na odwieczny szlak pielgrzymi, uświęcony przez pobożnych stacjami męki Zbawiciela, przedstawiano jako dość uciążliwe i niemal bez cienia, przyjaciele zamierzali możliwie zawczasu, zanim słońce dosięgnie zenitu, dotrzeć do klasztoru na górze, gdzie można było liczyć również na pokrzepienie dla ciała.

Godziny największej spiekoty zamierzali poświęcić wypoczynkowi na powietrzu na samym wierzchołku góry, a jeśli to będzie możliwe, również kontynuowaniu tak obiecująco rozpoczętej wczorajszej rozmowy; powracać zaś do miasteczka mieli dopiero późno po południu.

Zaopatrzone się od biedy w odrobinę żywności - ile zmieściło się po kieszeniach - nie zapominając też o soczystych miejscowych owocach.

Tak wędrowała trójka przyjaciół - najmłodszy pośrodku - idąc zwawo zrazu prostym, niby struna, pełnym kurzawy gościńcem, na którym mimo wczesnej pory upał już mocno dawał się odczuwać.

Na przyległych polach pszenica wybujała już w górę zielonymi kłosa, a każdy węższy spłachetek gruntu ujęty był jakoby w ramę ze zwisających winorośli, pnących się wzwyż po niewysokich wiązach, a przygodnie i po drzewach morwowych, tak iż nierzadko sprawiało to wrażenie, jak gdyby drzewo było samo krzewem winnym, gdyż własne jego liście znikwały niemal całkiem pod liśćmi winogrodu.

W pośrodku trafiały się też i poletka karczochów oraz zagony innych warzyw. Dalej znów, nad wąskimi rowkami do rozprowadzania wody, ciągnęły się zdziczałe zarośla, nad którymi królowały młodoctwane, strzeliste topole, o pniu umyślnie ogołoconym z listowia, tak iż korony ich sterczały niby kity na smukłych łodygach na biało-srebrzystym tle lśniącego jak jedwab nieba.

Na prawo, w stronę morza, słały się hen bujne łąki, tu i ówdzie poprzecinane rzędami karłowatych, koślawych wierzb, w oddali zaś, na wybrzeżu, można było dostrzec parę na poły rozwalonych chat rybackich.

A na turkusowej tafli morza rzucało się w oczy kilka krzyczących w słońcu spiczastych żagli, żółtych i pomarańczowych, zdających się trwać w martwym bezruchu, jak gdyby zaklętych w miejscu.

Trzej wędrowcy nie mieli snadź dotąd chęci do rozmowy, przeważnie więc milczeli rozglądając się dookoła.

Ledwie od czasu do czasu zamieniali słów kilka, czy to gdy przedmiot jakiś wzbudził za-

interesowanie którego z nich, czy też aby dać wyraz zdziwieniu, że o tak wczesnej porze promienie słońca dawały się już dotkliwie we znaki.

Upłynęła dobra godzina, jeśli nie więcej, nim doszli do niewielkiej figury, skąd odgałęziała się droga boczna. Tą drogą należało teraz się udać, chcąc dotrzeć do wciąż jeszcze dość odległej kopczastej góry, której strona ciemista, zanurzona w mgle białawej, uwydatniała ją niby brutalną dekorację teatralną, piętrzącą się nad łagodnie sfalowaną okolicą.

Przynajmniej mieli już poza sobą mogący znużyć każdego, monotonny i zakurzony gościnniec. Niebawem niezbyt stroma i pełna zakrętów droga podążyła w górę wśród bujnych zarośli i kęp drzew, poprzez gąszcze bzu i kasztanowe gaje, dające bądź co bądź trochę cienia, tyle upragnionego przez wędrowców.

Tak zbliżyli się pomału do podnóża góry. Nim jednak zaczęli się wspinać, postanowili zatrzymać się na krótki wypoczynek u źródelka, sączącego się skapo ze szczeliny w skale.

Byli tu już u stóp skalnego urwiska, z którego trzęsienie ziemi widać straciło kilka głazów, co miękkim mchem pokryte wprost kuśły ich teraz do spoczęcia w mocnym cieniu góry, pod potężnymi orzechami i kasztanami.

Kamienisty grunt był wokół gęsto zasłany kolczastymi łupinami i niezliczonym mnóstwem pomarszczonych i zeschniętych kasztanów, wśród których trzeszczały pod stopami rozdeptywane łupiny orzechów. Nie trudno było spostrzec, że cienisty ten zakątek musiał służyć za miejsce wypoczynku niejednej już procesji pielgrzymów przed wstąpieniem na stromą ścieżkę pokutniczą, wiodącą wśród stacji Drogi Krzyżowej ku położonemu na szczycie klasztorowi.

Choć woda sączyła się bardzo skąpo z rynny kamiennej źródełka, jednak wydała się wędrowcom rozkosznym nektarem i każdy czekał cierpliwie wciąż na nowo, aż kubek podróżny się napełni, by wychylić go potem jednym haustem.

Tak minął czas dłuższy wśród wesołych słówek, jakie w takich okolicznościach same cisną się na usta.

Pokrzepiwszy się dostatecznie zabranymi z sobą zapasami i orzeźwiwszy wodą źródlaną, wędrowcy uznali za właściwe ruszyć w dalszą drogę, pnącą się w górę ścieżką pokutników.

Jeśli ludzie, mający sobie coś do powiedzenia, idą razem czas dłuższy w milczeniu, nierychło poniechają znów rozmowy, gdy ją raz rozpoczną!

Można to było zauważyć i po trzech świec-
kich pielgrzymach, gdy nie opodal od miejsca
wypoczynku ujrzeli przed sobą, obok kapliczki
Matki Bolejącej, wykute w skale, wydeptane i
niewygodne stopnie, po których droga wiodła
odtąd niezliczonymi zygzakami w górę, na
drugą stronę kopca, wśród prażącego słońca,
bez żadnej nadziei na jakieś zagąszcza cieniste.

- Właściwie wyobrażałem sobie, że ta dro-
ga Stacji Boleści jest jednak trochę wygodniej-
sza, - osądził Siwobrody, choć mimo swego
wieku okazywał dotąd, że mógłby łatwo pójść w
zawody choćby z najmłodszym z ich trójki.

- Cóż robić, miejmy nadzieję, że droga nie
będzie szła wciąż po tych powyszczerbianych

stopniach, - odrzekł drugi, Młody zaś wtrącił z uśmiechem:

- Obawiam się, że mamy tu przed sobą kawałek jeszcze najłżejszy i że dopiero wyżej, gdy posiłek u celu będzie już nas nęcił tuż, okaże się, że czcigodni ojcowie klasztoru zarezerwowali tam dla nas kawałek najgorszy!

Lecz Siwobrody, śmiejąc się również, odparł:

- Mnie pan nie zastraszy tym krakaniem, bo tymczasem nie uważam się jeszcze za dziadygę! Wgramolę się jakoś na tę górę, choćby trzeba, było wdrapywać się na nią jak na ściany w Dolomitach! Nie darmo jeszcze przed kilku laty robiłem dawnym swym zwyczajem najtrudniejsze wycieczki górskie! I wtedy słońce przypiekało czasami niezgorzej, a jakoś tam szło jednak!

Lecz czy nie odbiegnie tu ochota kochanego naszego przyjaciela z jego tuszą, to już inna sprawa!

Dzięki podniecającej wędrowce Starzec nabrał rześkości młodzieńczej i gdyby nie jego powierzchowność, wedle której należałoby mu dać

dobłą sześćdziesiątkę, można by go było dziś wziąć za znacznie młodszego.

Szczerze zaś mówiąc podobała mu się rola starca kokietującego swą młodzieńczą siłą i wytrwałością, a czując to, dwaj pozostali mieli się na baczności, aby mu radości tej nie zmaćić.

- Owszem, owszem, - odrzekł ten, z którego troszkę zażartowano z powodu jego tuszy, - przyjaciel nasz mimo swego wieku ostatecznie jest z nas najmłodszy !

Choć szpera po wszystkich bibliotekach, a potem tygodniami całymi ślęczy nad swymi szpargałami, jednak znajduje jeszcze czas na uprawianie alpinizmu, toteż nie ma chyba górskiej wycieczki, której by nie odbył kiedyś w życiu, i już wszystkie szłaasy alpejskie udzielały mu na noc schronienia! Takiemu jak ja, naturalnie, ani się z nim równać!

Ale Starzec jał teraz zaprzeczać i powiedział, że ostatecznie nie ma w tym nic tak zdroźnego, jeśli się nawet trochę pochełpi tym, iż nie bacząc na swe sześćdziesiąt trzy lata może wciąż jeszcze uważać się za zdolnego do wcale niezgorszych wyczynów.

Niejako dodawszy sobie wzajem animuszu żartobliwą tą gawędą, nie licującą właściwie z widokiem drewnianej rzeźby w kapliczce - rzeźby dość nieudolnej i powleczonej farbą, a przedstawiającej świętą niewiastę, jak lamentuje nad zamęczonym na śmierć Synem - wędrowcy przebyli spory szmat drogi, wznoszącej się po stopniach w górę.

Czternaście razy miały się powtórzyć obrazy przejmującej zgrozą człowieczej męki, zadanej ręką człowieczą, z których pierwszy - wykonany równie nieudolnie, jak wizerunek „Mater Dolorosa”, zdający się niejako strzec wejścia na tę Drogę Cierpienia - wpuszczony w ubocz skalną, spoglądał oto na wspinających się wędrowców...

Zaraz na pierwszym z tych obrazów widać było młodego mężczyznę, wprawdzie do głębi przejętego boleścią, lecz o szlachetnej, królewskiej postawie, z obnażonym torsem, obficie broczącego krwią z niezliczonych ran od bicia, w ciasnej koronie z kłujących cierni na skroniach.

Plugawe pachołki o twarzach i gestach rodem z piekła wloką go szarpiąc, snadź przed sędziego, umywającego z zimnym, kamiennym

spokojem ręce w misie, trzymanej przed nim przez niedojdę chłopca.

Mimo woli trzech wędrowcy zatrzymali się na chwilę, a rozmowa ich zamarła...

Czy to pod wrażeniem tej sceny, tchnącej grozą - wśród bujnej przyrody, brzęku pszczół wokół i kołysania się motyli, wystawionej bezwstydnie na jaskrawe światło południowego słońca - czy to pod wpływem udręki, wznawiającej się nieustannie przed każdym nowym obrazem, czy też przyczyną tego było uciążliwe wspinanie się na górę wśród spiekoty, coraz bardziej dającej się we znaki: dość, że trzech przyjaciele pięli się odtąd w milczeniu po nieskończonych stopniach, często ledwie już widocznych wskutek używania ich tysiące i tysiące razy, aż minęli obraz ostatni, przedstawiający scenę składania do grobu biednego Męczennika.

Dostali się wreszcie na poziom klasztoru, gdzie powitała ich, znużonych, ława krągła, wykuta z kamienia.

Lecz jeśli już przedtem, przy jednym z ostatnich owych grozę budzących obrazów, patrzyli z przerażeniem na tyle męczzonego czło-

wieka, z przebitymi dłońmi i stopami, wiszącego na dwu zbitych na krzyż belkach, to tutaj na górze ukazał się oczom odpoczywających znowu ten sam obraz, lecz doskonały w formie, wykonany przez kogoś, kto miał talent twórczy, a do głębi przejęty był piekącym bólem, którego nikt oddać nie zdoła, kto kiedyś sam nie cierpiał - nie cierpiał nad tymi, co zadawali mu męczarnie, a on im jednak potrafił przebaczyć...

Pod męczeńską szubienicą widać było wykonaną z tym samym artystycznym postać bezbrodego mężczyzny w postawie stojącej, który - gdyby nie jego kędzierzawe włosy - wydawałby się niemal podobnym do najmłodszego z trzech przyjaciół, oraz postać niewiasty z załamanyimi rękoma, do głębi znękanej, zdającej się być identyczną z ową Matką Bolejącą, która czuwała tam na dole, u wejścia na drogę krzyżową, by nie wstąpił na nią nikt, niezdolny pojąć misterium owego cierpienia...

Długo siedzieli tu przyjaciele - nie myśląc już o posiłku, mającym oczekiwać ich na szczycie - niepomni palących promieni słońca, nie ciekawi tyle sławionego widoku, którym można

było napawać się z tarasu, położonego po drugiej stronie pobliskiego klasztoru.

Lecz kto by sądził, że trzej towarzysze podróży oglądali dziś po raz pierwszy podobne obrazy okrucieństwa ludzkiego i że dzieje owego Męczennika były im nieznane, myliłby się srodze.

Nie było tak bynajmniej!

Przeciwnie, Starzec pochodził z bardzo pobożnego chrześcijańskiego domu, a jeden z jego braci dostąpił wysokich godności w stanie kapłańskim, któremu się poświęcił od lat młodzińskich.

Drugi znów, którego wygląd tak mocno przypominał jakiegoś zacnego proboszcza, miałby kiedyś wszelkie widoki zostania nim naprawdę, gdyby nie pełne udręki wątpliwości, które skłoniły go do obrania innego przedmiotu studiów.

Trzeci zaś, najmłodszy, nie był wprawdzie synem Rzymskiego Kościoła, lecz nim zasiadł ponownie na uczniowskiej ławie u stóp katedry celem zdobywania wiedzy, potrzebnej do zawo-

du obecnego, mimo swych lat młodych piastował już był urząd i godność kościelną. Jakże porywająco umiał mówić wtedy do pilnie przysłuchującej się rzeszy o cierniowej drodze, przebytej przez tego Męczennika, stojąc na kazalnicy w roli rzekomego jego sługi! Kościół był naówczas szczelnie zapełniony i to nawet przez tych, którzy od dawna, nim się rozległy z kazalnicy jego słowa, znali wrota kościelne już tylko od zewnątrz...

- Jakiegokolwiek stanowisko zajęłoby się względem tej siwizną wieków czcigodnej, pobożnej formy wiary, - przerwał wreszcie Siwobrody ciężące już wszystkim milczenie, - takie unaocznianie cierpień człowieka, uważanego za Boga, celem budzenia współczucia, a w konsekwencji sprowadzania decyzji czystszej życia, ma jednak w sobie coś z antycznej wielkości!

- Nie podobna temu zaprzeczyć, - rzekł „Proboszcz”, wciąż jeszcze ocierając sobie pot z czoła, - lecz nie sądzę, by wielu z przybywających tu pielgrzymów choć trochę tę wielkość odczuwało!

Zbyt dobrze znam może ten rodzaj religijności...

Odklepią przed każdym z tych obrazów przepisane modlitewne formułki, próbują też może, w ostateczności, poszperać w głębi siebie, w mętym poczuciu winy, czyby się nie dało w obliczu tych scen okrucieństwa ludzkiego względem niewinnego, z którymi otrzaskali się od dzieciństwa, wykrzesać z siebie czegoś w rodzaju zgrozy czy litości. I w spokoju ducha, pełni zadowolenia ze spełnienia co do nich należało, a nawet pozyskania „zasługi w niebiesiech”, pospieszą dalej, do następnego obrazu, póki nie oblecą w ten sposób wszystkich po kolei. –

Poza tym zaś sprzeciwia się mej naturze takie rozmyślne akcentowanie okropności!

Nie wiem doprawdy, czy tego rodzaju metoda doprowadzania niskich instynktów ludzkich do zaniku jest celowa!?

Złość i nikczemność w twarzach i ruchach tych siepaczy, przedstawione nieudolnie, lecz z tak widoczną satysfakcją, ileż silniej działają na wrażliwość - choćby dlatego, że twórcy byli tu o wiele bardziej w swym żywiole - niż pełna godności uległość Męczennika. A dalej, całe to zdarzenie ujmowane jest w ten sposób, jakby coś podobnego zdarzyło się j e d e n j e d y n y

r a z na ziemi, gdy przecież to nie żadne przywidzenie, że później popełniane były w imię tego właśnie Męczennika o w i e l e straszniejsze potworności! - - -

Wszak nawet w „roku Pańskim” tysiąc dziewięćset pierwszym pewien „kapłan”, zwący siebie od imienia Ukrzyżowanego, pisze w swych „Instytucjach prawa kościelnego te tchnące miłością bliźniego słowa:

„Na rozkaz i zlecenie Kościoła winna zwierzchność świecka wykonać wyrok śmierci nad heretykiem i nie może już zawiesić kary śmierci na tego, co przekazany został przez Kościół władzy świeckiej. Karze tej podlegają nie tylko ci, którzy odpadli od wiary w wieku dojrzałym, lecz i ci również, którzy ochrzczeni, wyssali herezję z piersi matki, a wyrósłszy trzymają się jej uporczywie. Kara ta winna też spotkać, gdziekolwiek zostanie wprowadzona, wszystkich heretyków - recydy-

wistów, choćby zamierzali się nawrócić, zarówno jak wszystkich, co trwają w uporze po otrzymaniu napomnienia”. - - -

Muszę wyznać, że uważałbym wprost za konieczność pojawienie się jakiegoś „zbawiciela”, co by takiego człowieka, w którego głowie mogły się zrodzić podobnie potworne idee, wybawił z kajdan jego myśli! - -

Nie należy on zaprawdę do społeczności tego, którego na tych obrazach widzimy przedstawionego jako męczennika, lecz mógłby zaszczytnie figurować wśród tych pacholków katowskich, odtworzonych z tak lubieżnym umiłowaniem okrucieństwa!

- Bierz pan jednak podobne wypowiedzenia się zbyt poważnie, - odparł Starzec. - Co do mnie, za tego rodzaju enuncjacje jakiegoś fanatyka rzymskiego, które znam bardzo dobrze, nie chciałbym czynić odpowiedzialnym ani założonego przez świętego Ignacego Loyolę towarzystwa, do którego również i brat mój należy, ani też nawet samego Kościoła; zresztą wśród członków tego towarzystwa mam kilku uczonych przyjaciół, którzy wiedzą do-

skonale, że w dziedzinie religii kroczę w ł a -
s n y m i drogami !

Co się zaś tyczy jegomości, o którym tu
mowa, to po prostu jest on nie zdolny wydobyć
się ze swej czysto subiektywnej ciasnoty pojęć ! -

- Właśnie! - Nie może się wydobyć ?! - wy-
stał z zarzutem Fizyk.

- Lecz Kościół Rzymski posiada przecież
aż nadto znaną instytucję - „Kongregację In-
deksu!”

Czemu więc elaboratów, gdzie w imieniu
Tego, który położył podwaliny pod budowę
dumnego ich gmachu, głoszone są totalnie
l u d z k i e i d e e, nie umieszcza na tym „indek-
sie” i w ten sposób nie odseparowuje się od nich
przynajmniej f o r m a l n i e ?!

O ile zaś mi wiadomo, nie miało to
miejsca!

- Ależ Kościół Papieski, - zaproponował Sta-
rzec, - jest przecież w swej praktyce dzisiejszej
na wskroś tolerancyjny, a towarzystwo którego
członkiem jest ów kapłan, czyni nawet zarzut z

tego, że ma zbyt wiele pobłażania dla słabości ludzkich !

- Owszem, gdzie mu to jest na rękę, - odparował tamten, - co się zaś tyczy tej dzisiejszej „praktyki tolerancyjnej”, jest on cnotą z musu, by nie powiedzieć raczej, że właśnie to stosowanie tolerancji bywa natury na wskroś subiektywnej i żadną miarą nie zdaje się być na tym, co w korowodzie wieków Kościoła wyspekulował sobie do najdrobniejszych szczegółów jako swą jurysdykcję, a w czym niestety dziś jeszcze - lubo oględniejszy się stał w stosowaniu - upatruje swój punkt oparcia. A trzeba już potwornych, doprawdy ryzykownych sofizmów, aby nadać temu wszystkiemu pozory zgodności z nauką Nazarejczyka, choćby tylko w gronie augurów! -

- Mówią panowie o nauce Nazarejczyka, - wtrącił najmłodszy z trójki, - jakby o czymś, o czym nie trudno się poinformować.

Muszę więc oświadczyć, że mało jest rzeczy na ziemi, o których, choć ich się nie zna, mówi się z taką pewnością, jak właśnie o nauce Nazarejczyka!

- To, co posiadamy z tej nauki w dokumentach piśmiennych - tak zwanych „Ewangeljach” - oparte było od początku na relacjach z drugiej ręki, a zanim doszło do nas, zostało przeinaczone bez skrupułów przez najrozmaitszych przerabiaczy, każdy bowiem starał się o niezbitę potwierdzenie swych subiektywnych, ciasnych pojęć szkolarskich przez autorytet dostojnego Mistrza. - Każdy z dawnych przepisywaczy wyczytywał o tej nauce z owych już i tak fragmentarycznych opowieści to tylko, co sam był zdolen pojąć, czując się tym sposobem w sumieniu swym najzupełniej uprawnionym do zmieniania ustępów dlań niezrozumiałych, aż w końcu powstała ostateczna redakcja tych odpisów, odgrywających dla nas rolę najdawniejszych dostępnych jeszcze tekstów, na których opiera się cała nasza zewnętrzna znajomość nauki Mistrza z Nazaretu. –

A kto sądzi, że poza tymi dokumentami piśmiennymi, o tak wątpliwej już wiarygodności, mogła się jeszcze przechować jakaś tradycja ustna, zdradzi; bardzo słabą znajomość ludzi i historii...

Już doświadczenie codzienne uczy każdego sędziego, że najwiarygodniejsi świadkowie jakiegoś łatwego do ogarnięcia zdarzenia w najsprzeczniejszy sposób zdają z niego sprawę, choć każdy z nich uważa, że mówi całą prawdę.

- Jeśli się zaś rozejrzeć bliżej w dziejach ludzkości, to nie trzeba nawet wielkiego krytycyzmu, aby zauważyć, jakim zmianom ! mogą ulegać słowa i wypadki już w ciągu niewielu dziesięcioleci, stosownie do życzeń mocarzy albo potrzeb tłumu. - -

Toteż oświadczam tu bez ogródek, najzupełniej świadom całej mych słów doniosłości: - że nikt na tej ziemi nie wie i dowiedzieć się nie może nic pewnego ani o sobie, ani o nauce Jehoszuah z Nazaretu, pokąd nauki Jaśniejących Praświatłem nie staną się dlań dostępne albowiem mąż stanowiący punkt środkowy dawnych tych opowieści, był członkiem tego duchowego zespołu zjednoczonych z Bogiem, czegokolwiek zaś nauczał, czynił to tak, jak mu był „Ojciec” rozkazał, - „Ojciec” Jaśniejących, którego zna każdy z jego „synów” i o którym każdy z nich ma prawo powiedzieć:

„Ja i Ojciec jedno jesteśmy!”

„Kto mię widzi, widzi i Ojca!”

Każda z tylu gmin religijnych, zwańczych się dziś od imienia dostojnego Mistrza, owego „Pomazańca”, czyli Chrystusa, posiada wprawdzie w jakichś urywkach jakąś cząstkę jego nauki i w miarę możności stara się ją przystosować do swego pojmowania rzeczy, ale przy tym, rzecz prosta ginie najczęściej to, co w niej najcenniejsze. - -

Jedni trzebią wszystko, co wznosi się ponad ich subiektywny, racjonalistyczny sposób myślenia, bezwiednie zmieniając naukę Mistrza w jakąś wzniosłą etykę ludzką, gdy inni usiłują w drodze przymusu uzyskać zachowanie tego, co sami całkiem błędnie komentują.

Niedomaganiem Kościoła Rzymskiego jest jego duma z antenatów, na co słabuje tyle rodów szlacheckich, dla których liczba przodków znaczy więcej, niż szlachetność własna. Odrośle zaś, które się odeń oddzieliły, zapominają, że „gruntu” potrzeba, aby się po-

myślnie rozwijać; niechaj się więc nie skarża,
że zwolna siły życiowe tracą! - - -

Kto chce naprawdę zostać uczniem Mistrza z Ewangelii, temu nie wolno czuć się zależnym od tych ludzkich instytucji, choćby w tej lub owej natrafił na niejedno, co odpowiada mu, co do duszy jej przemawia!

Lecz również nie przez zerwanie z takim tworem społecznym zdoła się on zbliżyć do Mistrza, tylko przez rozjaśnienie własnego poznania, które daje się doprowadzić do rozbłysku w każdej formie religijnej!

Nie toczmy więc sporów o zaślepieniu czyimś, lecz sami szukajmy mądrości ! -

Najmłodszy z trójki na razie skończył na tym, a po tchnących wzruszeniem, podniosłych jego słowach zapadła głucha, niemal martwa cisza.

Zdało się, jak gdyby Ukrzyżowany, pod którego artystycznie wykonanym wizerunkiem stali oto ci trzej - co podczas tej przemowy powstali mimowolnie - z błogosławieństwem rozpościerał nad nimi przebite swe dłonie i jak

gdyby mąż i niewiasta, których widać było u stóp krzyża zakrzepłych w bólu serdecznym, chcieli czerpać ukojenie ze słów natchnionego mówcy...

Zatrzymano się tu znacznie dłużej, niż było zamierzone, przeto trzej przyjaciele, pełni świętego wzruszenia, które płynąc od mówcy udzieliło się obu pozostałym, podążyli teraz przez kwiecisty ogród, bardzo starannie przez mnichów pielęgnowany, ku pobliskiemu klasztorowi.

Przystanęli przed barokowym portalem, arcybogato rzeźbionym.

Za pociągnięciem masywnej, kutej w żelazie rączki dzwonka rozległ się z głębi klasztoru niski jego dźwięk i niebawem otwarła się furta w potężnych rzeźbionych wrotach, obramowanych kamiennym portalem.

Otyły braciszek franciszkanin powitał przybyszów z uśmiechem, natychmiast zamykając za nimi wejście, które, jako furтка w bramie, nawet rozwarłe nie psuło ani trochę architektonicznej struktury całości.

Przyjaciele znaleźli się w wysokim, dość widnym przedsionku, skąd idący na przedzie brat furtian, ostrzegając troskliwie przed kilku stopniami, powiódł ich do sklepionej izdebki, zatłoczonej stołami, ławami i stołkami. Bielone jej ściany pozbawione były wszelkich ozdób, prócz wielkiego, czarnego, drewnianego krucyfiksu.

Tu poprosił wędrowców, aby poczekali, a widocznie mając sobie zlecone pokrzepianie ciał odwiedzicieli klasztoru wrócił niebawem z potężną misą parującego „minestrone”, smakowitej włoskiej zupy jarzynowej, i postawił ją przed nimi.

Wydostawszy z szafy ściennej talerze, łyżki i szklanki, zniknął znowu. Wnet jednak powrócił z oplecioną łykiem wysmukłą butelką, z półmiskiem cynowym, na którym leżał długi bochen białego chleba, i z miseczką tartego sera, który tutejszym zwyczajem sypie się do zupy.

Osądziwszy wówczas, że goście mają wszystko, złożył im życzenia smacznego apetytu i pozostawił samych.

Minestrone miało smak wyborny, chleb i wino stanowiły dodatek pożądany, a że przed przyjściem tutaj wędrowcy zdążyli porządnie się wygłodzić, brat kuchmistrz mógł chyba pomiarkować po opróżnionej misie, że ofiarowany im posiłek musiał się spotkać z całkowitym uznaniem.

Spożyto właśnie z zadowoleniem ostatni kąsek, gdy brat usługujący pojawił się znowu, a rzuciwszy okiem na opróżnione misy, zaznaczył żartobliwie, że goście są chyba znów zdolni do zniesienia pewnego wysiłki przeto rad by im pokazał stare krużganki i wnętrze klasztornego kościoła.

Wzbraniał się z uśmiechem przed jakąkolwiek zapłatą za posiłek powiadając, że po skończonym oprowadzaniu wędrowcy będą mogli wyrównać to według swego uznania jakąś skromną ofiarą na klasztor!

Jest coś przepięknego w tej gościnności zakonników i żałować należy, że zbyt często trafiają się goście, chętnie zezwalający, aby im klasztor dawał, lecz którzy nie odważają się niczym. W końcu więc

klasztory, w których się dotąd zachowała ta ufna gościnność, będą pewnego dnia zmuszone do poniesienia tego pięknego, odwiecznego zwyczaju.

Gdy opuszczono izdebkę gościnną, pełen miłego nastroju „Proboszcz”, jak dość często żartobliwie zwali Fizyka przyjaciele, rzekł wesoło: - O, to bym nazwał chrystianizmem praktycznym! Tu nie wypytują przede wszystkim, ktoś zacz: poganin, Żyd czy chrześcijanin, ani na jaką modłę podoba ci się nim być, czyś jest przy pieniądzach czy nie, lecz ufają ludziom całkiem obcym, że mają dość rozsądku, aby za dary odwzajemnić się darami!

Rzecz doprawdy godna pożałowania, że w naszym świecie „pobożnisie” wszelcy zawsze boją się dopuścić grzechu, jeżeli kogoś, nie zaprzysiężonego na i c h wiarę, obdarzą choć jednym przyjaznym spojrzeniem! -

Tutaj zaś mamy próbkę starodawnej praktyki kościelnej, zasługującej, być może, na naśladowanie! -

Lecz nie pora było się rozwodzić nad wymarzoną stanem, jaki by mógł nastąpić na ziemi dzięki tolerancyjnemu zachowaniu się lu-

dzi względem bliźnich, lubo każdy z pozostałych wędrowców chętnie by przyznał słuszość przedmówcy; wszak nie ulega wątpliwości, że ludzie potrafią żyć w najlepszej z sobą zgodzie, póki nie przyjdzie im do głowy obniżyć bezwstydnie najgłębszych swych przekonań do poziomu towaru! który wówczas, gdy chodzi o nabytek własny każdy chce widzieć oszacowanym jak najwyżej, wpadając natomiast w gniew, złość i wściekłą pasję, gdy kto inny uważa, że miał szczęśliwszą rękę i że jego przedziwo musi przetrwać wszystkie inne. - -

Trójka wędrowców z braciszkiem klasztornym na czele przybyła po chwili przed głęboką niszę, gdzie z równą nieudolnością, jak widziane przedtem sceny męczeństwa, przedstawiony był w polichromowanej rzeźbie drewnianej cud Zesłania Ducha Świętego.

Pośród dwunastu uczniów Pomazańca królował już nie z w i a s t u n „radosnej nowiny”, jeno jego m a t k a .

Miejsce Męża zajęła Niewiasta!

- Wieczysta kobiecość pociąga nas
wzwyż - jakby mimochodem zauważył Młody,
pełen głębokiej powagi.

Oprowadzający braciszek uważał tę rzeźbę za potężne dzieło sztuki, zwłaszcza że pasowało doskonale do nazwy klasztoru, albowiem ogniste języki, tam, ponad każdą z głów, wszak oznaczały Parakleta, „D u c h a Ś w i ę t e g o”.

—

Rad z oczywistego upodobania, jakie zwiedzający powzięli, jak sądził, do tej rzeźby, wedle niego tak „naturalnie” wykonanej, powiódł ich stąd do refektarza, czyli sali jadalnej zakonników.

Miejsce to było uroczyste i dostojne.

Na ścianach widniały niezłe freski biblijne z późniejszego okresu sztuki włoskiej; dookoła, wzdłuż ciemnobrunatnej boazerii, ciągnęły się nakryte płóciennymi obrusami długie stoły, na których, wprost każdego zydła, widać już było - przygotowane dla mnichów na wieczrę - po miseczce i bułce chleba.

Na tle przedniej ściany refektarza, dość skąpo oświetlonego trzema wąskimi, niewielkich rozmiarów romańskimi oknami, pod nieledwie naturalnej wielkości wizerunkiem Ukrzyżowanego, malowanym na drzewie, a przedstawiającym „Męża Boleści” na czarnych skrzyżowanych belkach - z trzema srebrnymi koronami nad głową, z których jedna o pięciu, druga o czterech, wyższa zaś o trzech kolcach - rzucił się w oczy stół przeora, za którym, miast stolki wznosił się tron wysoki.

Naprzeciw zaś, gdzie w drugiej wąskiej ścianie przebite były owe trzy otwory okienne, stała w kącie mała kazalnica z pulpitem a braciszek objaśnił podróżnych - o czym zresztą wiedzieli sami - że podczas posiłku sprawuje tam swe czynności lektor, by nawet w chwilach nieodzownego pokrzepiania ciała nie brakło im Ducha Świętego

Całą salę wypełniał mocny, lecz wcale nie przykry zapach gotowanej fasoli, zdający się płynąć ze ścian, stołków i nawet z małej kazalnicy, a stanowiący dziwny kontrast z wonią kadzideł, z którą się dotychczas spotykano w wysokich, długich korytarzach wiodących do refektarza.

Jak bywa zawsze, gdy wchodzimy do komnaty, w danej chwili nie służącej swemu przeznaczeniu, tak stało się i tutaj: wędrowcy byli radzi, mogąc opuścić refektarz i chętnie dali się wyprowadzić do ogrodu skąd dochodziły coraz bardziej dające się wyczuwać, świeżością tchnące powiewy.

Całym labiryntem przejść dotarli do słynnego krużganku klasztornego, który dawna pobożność z niezwykłym stworzyła artyzmem.

Duży czworobok był tu literalnie pokryty różami, a nawet wokół cienkich kamiennych kolumienek na balustradach, oddzielających szeroki krużganek od terenu ogrodu, pięły się kolczaste gałązki róż aż pod sklepienie.

Był tu zaprawdę raj błogi, a pobożnym ojcom można było szczerze pozazdrościć, że dzień w dzień dane im było rozkoszować się dobrodziejstwem czytania tu brewiarzy.

Jakże słodko musiało tu się wznosić serce ku „Rosa mystica”, w tym chłodnym krużganku wokół różanego gaju!

Jakże musiało czuć się tu blisko owych świętych, co „Laudamus te” przed tronem Baranka śpiewają wiekuiście.

Że nie przystoi jednak ludziom świeckim zbyt długo napawać się w wyobraźni szczęśliwością pobożnych mnichów, musieli wędrowcy opuścić i ten zakątek przeznaczony dla cichej zadumy i rozmów świątobliwych, by wciąż dobrotliwie uśmiechającemu się przewodnikowi dać się zaprowadzić do klasztornego kościoła.

Najbardziej w nim godną uwagi była okoliczność, że stał on niejako na kościele dawniejszym, w tym zaś dawniejszym, stanowiącym teraz kryptę - sklepienie podziemie obecnego - znalazł się po dzień dawny pogański ołtarz ofiarny - oczyszczony ninie od wszelkiego diabelstwa i poświęcony przez biskupa; na tym ołtarzu w czasach przedchrześcijańskich dawni kapłani pogańscy składali obiady jakiemuś bożkowi, zwanemu przez nich „Życiodawcą”, którego w świetle Objawienia oczywiście od dawna uznano za złośliwego „czarta” i przepędzono z byłego jego chramu.

„San Spirito” przecież zwie się dziś ten kościół, a odeń i klasztor, gdzie w czasach zamierzchłych wznosiła się świątynia, na którą jeno z dala ośmielano się spoglądać w całej tej okolicy, jako że sama już skała, na której została wystawiona, uważana była za świętą i tylko słowo Boże, jak się wydawało, mogło wydzwignąć ją z łona tej pagórkowatej krainy. -

„Veni Creator Spiritus” - Zejdź Duchu Stworzycielu! - zacytował najmłodszy z trójki.

- Jak długo każesz nam jeszcze oczekiwać?!

A braciszek klasztorny przytaknął z uśmiechem - wszak usłyszał tak znane sobie słowa, które mu tego, co je wyrzekł, kazały uznać za pobożnego, dalibóg, syna Kościoła Świętego...

Nawet pomiędzy ludźmi świeckimi zdarzają się przecie czasem z wyroku boskiego dusze pobożne, a choć trudno im zaiste dostąpić zbawienia, jednak tak dobra znajomość słów świętych świadczyłaby o tym, że ten oto niezupełnie był zgubiony. -

Braciszek powiódł wędrowców z powrotem wykutymi w skale, stromymi schodkami do górnego kościoła - budowli, rozpoczętej w pierwszych wiekach chrześcijaństwa i wtedy też pewno ukończonej, później zaś, czasu zawieruch wojennych, burzonej i wciąż powstającej z ruin w stylu coraz innej epoki, aby ostatecznie zachować się w stylu bogatego baroku, tak często spotykanego w ziemi włoskiej, stylu najswawolniejszej świątobliwości.

Miano tu wprawdzie podziwiać pewne obrazy na ołtarzach, lecz widocznie ci turyści nie znali się na sztuce, gdyż mało się znalazło rzeczy, podziw w nich budzących.

Braciszek franciszkanin był nieomal smutny!

Tylko z pokutującej Magdaleny, co wprost grzesznie narzuciła się ich oczom, jako niewiasta, rzecz prosta, a której obraz - miał być pędzla jakiegoś ucznia wielkiego Tycjana - już by dawno chętnie sprzedano, antykwariuszom florenckim, gdyby zgodzili się dać cenę żadaną przez przeora tylko z niej jednej nie spuszcza li oczu nie wyłączając tego młodego, co znał przecie takie święte słowa - tak iż omal nie roz-

gniewało to braciszka i przez chwilę nie był już w stanie uśmiechać się tak uprzejmie jak to miał skądinąd we zwyczaju wobec znacznie-szych osób, zwiedzających klasztor.

Istny krzyż Pański z tymi świeckimi ludźmi, a szatan zawsze ich doprawdy przez za kołnierz trzyma !

Jakże szczęśliwy ten, kto znalazł schronienie tutaj, jak oto on właśnie, którego nie zwiodą więcej żadne pokusy świata, który przed pychą jego umknął!

Mimo woli musiał się przeżegnać biedny braciszek...

Potem zaś znów poweselawszy, jak mu to nakazywały jego funkcje i czym pozyskiwał nawet zasługę w niebiesiech, odmówił w cichości strzelistą modlitwę za tych cudzoziemców, którzy choć władali dźwięczną mową jego kraju, kto wie, mogli być jednak „heretykami” - odchrząknął i jał pokazywać im, rozwodząc się w objaśnieniach bez końca, groby znamienitych kolatorów kościoła w suto zdobionej bocznej kaplicy, i był niezmiernie rozczarowany, gdy i te

osobliwości również nie znalazły u nich należnego uznania.

Prowadząc cudzoziemców przez długie korytarze ku wyjściu rozmyślał nad tym, od ilu to jednak niebezpieczeństw uchronił go Pan. - -

Nie niebezpieczeństw dla ciała, gdyż na te nie zwracał nigdy szczególniejszej uwagi, nawet wówczas, gdy zadawał cios sztyletem bratu swej Rozetty, skutkiem czego ten w końcu umarł. - -

Czemuż musiał ich szpiegować?!

Na szczęście Rozetta, jak się o tym później dowiedział, zdradzała go z innym, tak iż podejrzenie padło wówczas na tamtego - co było właściwie słuszną „karą” - a rozwścieczony napastnik, który przybiegł pomścić cześć siostry, po ciemku nie zdołał rozpoznać tego, kogo sam chciał zasztyletować...

Teraz Rozetta jest już od wielu lat zacną małżonką, ma pół tuzina dzieci i bardzo niewinnie spuszcza oczy przybywając w nadzwyczajne święta do klasztoru na górze i spotykając tam czasem brata Izydora. - -

Tak - t r u d n o było żyć wśród świata a jednak pozyskać zbawienie - B a r d z o trudno!

Stokrotne dzięki świętej Dziewicy za to,; że w chwili, gdy po pogrzebie brata Rozetty modlił się tak żarliwie, uznała za właściwe podsunąć mu myśl, że mógł przecież uzyskać jeszcze odpuszczenie grzechów jak pokutujący braciszek w tym tu klasztorze na górze! - R z e - k o m y winowajca został przecie u w o l n i o n y dla braku dowodów. - -

Zatopiony w takich rozmyślaniach powiódł cudzoziemców z powrotem do furty przez którą można było wpuszczać i wypuszczać pojedynczych odwiedzicieli klasztoru nie otwierając potężnej bramy.

Tu, pomny znów swego obowiązku, obdarzył gości najprzyjemniejszym ze swych uśmiechów, przyjmując od nich w imię Boże z podziękowaniem, choć na niewidzialnego, ich ofiary, i zamknął za nimi furtę z uczuciem dość podobnym temu, jakiego by musiał doznawać Piotr święty, gdyby oprowadzał był po niebiańskich salach tronowych paru diabłów, by się ich wreszcie pozbyć...

Urząd brata furtiana zaiste łatwy nie był!

Mieć wciąż do czynienia z tymi profanami ze świata, gdy się od dawna ślubowało niebu - ciężka to zaprawdę pokuta! - -

Chwała Bogu! - Dziś przynajmniej już nie należało oczekiwać więcej żadnych gości!

A trzech wędrowcy, wymieniając spostrzeżenia o rzeczach widzianych, obszerne zabudowania klasztorne, aby dostać się w końcu na taras zewnętrzny, z którego podobno miał się wspaniały roztaczać widok.

I rzeczywiście, mieli oto przed oczyma panoramę, której równą trudno by znaleźć - nawet w italskiej ziemi.

Ze szczytu stromej góry obejmowali wzrokiem szeroko rozesłaną wzgórzystą krainę, wsie, wioski, oddzielne zagrody, rozsypani wśród ciemnej, szarawej zieleni, niby jasny haft jakiś na ciemnym aksamicie.

Miejscami na tle zieleni widniały jasne srebrzystoszare plamy: gaje oliwne, przywierające do zboczy wzgórz.

Tu i ówdzie strzelała w niebo wysokie wiejska campanila, a drogi, ulice i ścieżki, które wyginając się lub załamując wszystkie prowadziły z równiny pod górę, pewno do piazetty jakiejś, pełzły w ciemniejszą krainę niby białe odnóża pajęcze.

Po drugiej stronie kraj był równiejszy ścieląc się przed oczyma jak rozpostarta mapa.

W oddali, wśród pól, łąk i ogrodów widać było coś czerwono-żółtego, co na pierwszy rzut oka można było wziąć za kamieniołom, gdyby nie prawidłowe zarysy konturu, zdradzające twór ręki ludzkiej.

Ta czerwono-żółta plama, zmatowana woalem opalowej mgiełki, wzmocnionej przez dymy kuchenne - to było miasto. Po bliższym przyjrzeniu wnet dawały się rozeznaczyć pałacyki i smukłe wieżyce. Miasto zaznaczało swój obwód ciemną gęstwą parków, wśród nich zaś połyskiwały jasne plamy: wille zewnętrznych dzielnic, nad którymi królowały częstokroć ostre wierzchołki czarniawych cyprysów lub szeroko rozpostarte korony pinii.

Na skraju horyzontu cały krajobraz opasywało widoczne w dali morze, rozlane szarozieloną roztoczą i gdzieś hen, w bezkresach, otoczone przestworem turkusowego nieba, niby jakąś ścianą świetlistą, na której fioletowawe pasemka obłoków starały się przeciągnąć subtelną obwódkę.

Im wyżej nad linią horyzontu, tym bardziej się pogłębiał blady błękit tej ściany niebieskiej, wskazując coraz wyraźniej, że owa ściana - to tylko osłona delikatna nieskończonej pomroki kosmicznej, którą światło ziemskiego słońca kryje przed naszymi oczyma, wysoko zaś, pod zenitem, zdawała się ta osłona już tak nierealna, że niemal można było przez nią dojrzeć czarne otchłanie kosmosu.

Żaden dźwięk nie dochodził ucha.

I tylko wzrok odbierał wrażenia, tak łatwo było poddać się złudzeniu, że się przed jakąś olbrzymią panoramą, że mu jest się bynajmniej ledwie dostrzegalny siedliskiem świadomości na jakimś zaledwie godnym wzmianki skrawku powierzchni jednej z najdrobniejszych planet, co w ruchu bezustannym, z obłądnym po-

śpiechem, przebywa swą drogę wokół gwiazdy żywicielki, odległej swej macierzy. - -

Trzej wędrowcy odczuli potrzebę spędzenia tu dłuższej chwili w milczeniu i nie umawiając się bynajmniej zdali się zgadzać wszyscy na poniesienie pierwotnego zamiaru wznowienia tu wczorajszej rozmowy zwłaszcza że późna pora nagliła do powrotu, jeśli miano się dostać do miasta jeszcze przed zapadnięciem zmroku.

Niebawem ruszyli w drogę, a niemałe było ich zdziwienie, gdy wnet znaleźli się na dole, w miejscu odpoczynku, gdzie z rana rozłożyli się obozem.

A lubo w dalszej wędrówce przyjaciele zamieniali kiedy niekiedy po parę krótkich zdań, jednakże się zdawało, że nikt z trójki nie ma ochoty do dłuższej rozmowy.

Można by prawie sądzić, że podobnie do owego ubożego źródelka w miejscu rannego wypoczynku myśli ich chcą wpierw się zebrać, niby woda w kubku, nim będą gotowe do użytku. -

Milcząc przyśpieszali mimo woli kroku, tak iż o wiele wcześniej wrócili do miasta, niż by to można było pierwotnie przewidzieć.

Mimo przebycia tego dnia ładnego szmaltu drogi, wędrowcy czuli się dziś zbyt rześko, aby mogła im przyjść chętka spędzenia w samotności reszty dnia, a raczej już wieczoru.

Umówili się zatem, że spożyją wspólnie dzisiejszą wieczerzę, upatrzywszy w tym celu pewną słynącą ze swej kuchni i piwnicy trattorię, która poza tymi zaletami, choć położona w śródmieściu, posiadała jeszcze pergolę, sąsiadującą z obszernym ogrodem, tak iż można było cieszyć się nadzieją spędzenia tam na powietrzu jednej z owych precudnych nocy południowych.

Tam - jak sądzili - zdarzy się też może sposobność powrócenia w ciszy, w chłodku wieczornym, do poniechanej po południu rozmowy.

NOC NA POŁUDNIU

„Trattoria del duomo” - tak zwała się nieduża restauracja, w której zeszli się znów przyjaciele.

Przeszli najpierw przez wąską, wydłużoną jadalnię o bielonych ścianach, na których, ni by dziwaczne kleksy, rzucały się w oczy niewybredne, patriotyczne oleodruki.

W nazbyt jaskrawym świetle, jak na tak szczupłą, pustą salkę, siedziała przy wieczerzy za biało nakrytymi stolikami ledwie garstka gości.

Wyszędłszy stąd tylnymi drzwiami na powietrze przyjaciele byli tak oślepieni, że mimo kilku żarówek, zawieszonych prymitywnie w listowiu pergoli, dostrzegali wokół, poza widocznym tu i ówdzie skąpym kręgiem światła, tylko nieprzeniknione, egipskie ciemności.

Wystarczyło jednak chwil kilku, by przyszedłszy do siebie po niemiłosiernym olśnieniu, wzrok począł wyraźnie rozróżniać uliścienie

ogrodowych drzew, za którymi wznosił się dach katedry i stojącej obok campanili, przesłoniętych nieprzenikliwą czernią grupy cyprysów, rosnących zapewne w tym jeszcze ogrodzie.

Pełne załamania gzymsy kamienic zamykały z drugiej strony ten obraz, ujęty jak gdyby w ramę z blade oświetlonych winorośli, rozpiętych na altanie. Na dalszym planie lśniło świetliste niebo nocne, przepojone poświatą niewidocznego stąd, lecz wschodzącego już księżyca, a z tej otchłani niebios stłoczona gwiazd ciżba słała światelka migotliwe ku jednej z najdrobniejszych swych siostrzyc, ku małej planecie - Ziemi.

Po zbyt dokuczliwej, nadmiernej spiekocie dnia, wędrowcy powitali nader wdzięcznie umiarkowany chłód wieczoru, dzięki któremu mogli się prawdziwie rozkoszować przebywaniem na świeżym powietrzu.

Przyjaciele szybko wyłuszczyli swe życzenia uprzejmemu cameriere, postępującemu za nimi krok w krok od samego wejścia, a po chwili siedzieli już przy niezwykle smakowitym posiłku, przy którym nie szczędzili uznania wyśmienitemu Barolo, czerwonemu winu piemonckiemu, co

ani cierpkie, ani słodkie, odznaczając się swoistym, nader charakterystycznym smakiem, zdawało się jakby stworzone do rozwiązywania języków.

Miękki jak masło stracchino - ów łagodny, wyborny ser lombardzki, co rozsmarowany na pszennym chlebie wiejskim może być przysmakiem nie byle jakim - zakończył wieczerzę. Wówczas najstarszy z trójki, który zwykł był z pewnym uporem trzymać się swych planów, uznał za stosowne podjąć dyskusję, odłożoną za dnia wskutek biegu zdarzeń. Wszak można było oczekiwać rozmaitych wyjaśnień, a nie zaznałby spokoju, gdyby i wieczorem poniechano tej rozmowy.

Zagaił więc w te słowa:

- Czy nie ma pan wrażenia, młody przyjacielu, że miejsce to, zarówno jak pora, wielce się nadają do wysłuchania wszystkiego, co pan nam wprowadzie obiecał dziś powiedzieć, lecz dotychczas zachował przy sobie?

- Sądziłbym, że trudno chyba znaleźć tło bardziej nastrojowe.

- Te gwiazdy wieczyste nad nami wprost wzywają do omawiania najgłębszych tematów... Może więc uzna pan za stosowne uchylić przed nami rąbka zasłony, kryjącej owe tajemnicze rzeczy, jakie się panu przytrafiły!

„Proboszcz”, który poprzedniego wieczora podczas wędrówki po morskim wybrzeżu pierwszy poruszył tę kwestię, przytaknął z zadowoleniem, najmłodszy zaś z trójki, do którego prośba była skierowana, okazał gotowość przychylenia się do niej; dał jednakże do zrozumienia, że trudno by było zabawić tu tak długo, by wysłuchać wszystkiego, co miał do powiedzenia.

Zaczął więc od tego, że napomknął o domu rodzicielskim, gdzie była niejako dziedziczną gorącą pobożność chrześcijańska według wyznania reformowanego. Wspomniał szczególnie matkę, która umiała zbudzić w duszy dziecka tęsknotę za rzeczami boskimi tak głęboką, że uzyskana następnie matura nie dopuszczała już wahań co do przyszłego zawodu. Jedyne w roli duszpasterza wśród gromadki wiernych syn upatrywał wówczas możliwość znalezienia szczęścia w życiu. —

Wspomnił dalej pierwsze, opromienione radością chwile, gdy po ukończeniu studiów objął stanowisko przy kościele swego wyznania w pewnym niewielkim mieście, w którym panował jednak niezwykle żywy ruch umysłowy. Wspomnił też wszystkie momenty radosne, jakimi darzyło go wówczas duszpasterstwo, odkąd mu zostało powierzone.

Lecz potem, prawie nagle, wynurzyły się pierwsze głębokie wątpliwości, czy aby istotnie owe opowieści starożytne, zwane Ewangeliami, przez niezliczonych przerabiaczy omal nie do poznania przeinaczone, mogą jeszcze uchodzić za „Słowo Boże”. W ciągu szeregu miesięcy, strawionych przez młodego kaznodzieję, przeważnie nocami całymi, na studiowaniu krytycznych dzieł o biblii, wątpliwości te stężały stopniowo w niezachwianą pewność, że zawód jego zmusza go do przystrajania ludzkich myśli i ludzkich kanonów w niezasłużony autorytet boski. Przekonał się też, że nawet owi mężowie, co uczynili niegdyś słowo Ewangelii jedyną podwaliną wiary, popadli w błędy przeróżne, znając te stare opowieści też tylko w redakcji, jaka została im nadana już w zaraniu chrześcijaństwa dla poparcia tą drogą rozmaitych poglądów doktrynalnych. Najnowsze badania tekstu

wykazały z niezbitą pewnością, że niejedno ulubione przez wiernych słowo Pańskie jest wstawką późniejszą, całe zaś mnóstwo cudów, pod wnikliwą sondą badacza, rozwiało się w pobożną legendę.

Trawiąca męka duszna przepeliła sen młodego duchownego, gdy spostrzegł w końcu, że nie jest już w stanie głosić z przekonaniem wiary swoich ojców.

W tej udręce duszy odkrył swe serce zwierzchnikowi duchownemu, który wprawdzie, pełen życzliwego zrozumienia, dołożył wszelkich usiłowań, aby mimo wszystko zatrzymać go na stanowisku, lecz argumentacją swą bynajmniej nie zdołał rozproszyć wątpliwości jego sumienia, pod wpływem których w młodym pastorze od dawna dojrzało postanowienie porzucenia dotychczasowego zawodu, choć niegdyś dążył do niej tak ochoczo.

Jakże trudno mu było zawiadomić o tym postanowieniu sędziwych rodziców, lecz wbrew oczekiwaniu spotkał się u nich z zupełnym zrozumieniem. Dzięki pomocy ojca stało się dlań możliwe rozpocząć nowe studia, oparte na jego zdolnościach do matematyki, zaś po ich ukoń-

czeniu, niedawno właśnie, życie rzuciło go w tryby wielkiej maszyny przedsiębiorstwa technicznego, gdzie w przyszłości miał znaleźć dla siebie pole do działania.

Nim jednak przystąpił do pracy w świeżo zdobytym zawodzie, staruszek ojciec - gdyż matkę wydarła mu śmierć rychło po podjęciu przezeń nowych studiów - spełnił żywione od dawna, najgorętsze jego pragnienie: dostarczył mu środków na podróż na Wschód, tak iż przez całe pół roku mógł poić wzrok widokiem cudów, którymi słyną krainy, położone w szerokościach południowych, zwłaszcza że nowe pole pracy też nie wcześniej miało się przed nim otworzyć.

Teraz zaś spędzał pierwsze swe wakacje, dość hojnie wymierzone, cóż więc naturalniejszego, że uległ tęsknocie za Południem i w ten sposób, wraz z dwoma starszymi uczonymi przyjaciółmi, z którymi się poznał na nowym polu pracy, znalazł się we Włoszech.

Niejeden szczegół jego opowieści był już słuchaczom znany, inne były nowe, wszakże sądził, że nie podobna mu było pominąć swego krótkiego życiorysu, jeśli słuchacze mieli się zorientować w zdarzeniach następnych.

Po kilku luźnych pytaniach starszych druhów ciągnął dalej w ten sposób:

- W tym krótkim zarysie swojej biografii z rozmysłem nie wspominałem dotąd o tym o czym by panowie przede wszystkim chcieli coś usłyszeć. Teraz dopiero mam możliwość opisać na tym tle, jak wstąpiło w me życie i dalej wpływało na nie t o, czemu zawdzięczam całą dzisiejszą pewność duszy, a co dosięgło mnie kiedyś po raz pierwszy, gdy dusza ma znajdowała się w stanie istnego spustoszenia, po którym nie pozostało mi nic zgoła, prócz jałowej wiary w jakąś „rzeczywistość”, dającą się mierzyć, ważyć, obliczać, czy wreszcie dotykać rękoma.

Słuchajcie więc, panowie!

Było to w owym wielkim mieście, w którym ze skołataną duszą, zwątpiwszy nawet o wszelkiej możliwości poznania duchowego, podjąłem nowe studia wytężając całą energię, by w tym stanie duszy podolać nauce i nie dać się zawstydzić tyle młodszym ode mnie kolegom.

Znalazłem pokój dość blisko politechniki, a że prawie nie znosiłem obcowania z ludźmi,

staralem się więc zawsze prosto z wykładów dostać co prędzej między swe cztery ściany, słynne zaś osobliwości miasta tak jakby dla mnie nie istniały.

Już od dłuższego czasu znosiłem to dobrowolne odosobnienie, z czym było mi zresztą nie najgorzej, gdy pewnego razu, w ciepły i piękny wieczór letni, poczułem jednak chęć zwiedzenia niezbyt odległego, ogromnego parku, gdzie od tego pierwszego zerwania z samotnością można mię było spotkać nieomal co wieczór. Poznałem tam wkrótce całą spletaną sieć drózek, które z biegiem strumieni, mimo niewielkich stawków, poprzez mostki i kładki prowadziły stopniowo z wypielęgowanego pejzażu parkowego na łono natury, w prawdziwą głuszę leśną i na zapuszczone łąki. Tam mogłem mieć pewność, że nie spotkam żywej duszy, prócz pomykającej sarny, przecinającej czasem drogę, lub wypłoszonego z zarośli bazanta, którego wzlot hałaśliwy nierzadko mącił znienacka spokój samotnego przechodnia.

Jednak pewnego wieczora zauważyłem, że tym razem nie tylko ja szukałem tu samotności.

Ktoś słusznego wzrostu i śniadego oblicza o ile można było jeszcze rozeznąć, siwobrody starzec - zdawał się iść za mną krok w krok w pewnym oddaleniu, gdziekolwiek bym zawrócił. Nie odczuwałem, rzecz prosta, żadnej przed nim obawy, jednak to deptanie po piętach nie odpowiadało mi bynajmniej.

Powziąwszy więc szybko decyzję odwróciłem się nagle, kierując się w stronę swego cichego prześladowcy, podszedłem doń i - ku nieopisanemu swemu zdumieniu - usłyszałem, że mię powitał z nazwiska.

Niemalże skonsternowany, odpowiedziałem na powitanie, dając zarazem wyraz swemu zdziwieniu, gdyż stojący przede mną starszy pan był mi zupełnie nieznanym: nie przypominałem sobie, bym kiedykolwiek i gdziekolwiek spotykał się z tym starcem o dobrotliwym, pięknym obliczu ciemnej brunatnej barwy i przenikliwych, ciemnych oczach zdających się nieledwie świecić o zmierzchu.

Coś kazało mi się teraz po prostu wstydić, że nieustanne tropienie mnie przez tego starca sprawiało mi przedtem taką przykrość i

że zgoła nieprzyjaźnie posyłałem go w myśli do wszystkich diabłów.

Na moje zaś pełne zdumienia zapytanie ta oto nastąpiła odpowiedź:

- Wierzę chętnie, że nigdy nie widział mię pan dotychczas, wszelako, jak się okazuje, nie jest mi pan nieznany, na co, jeżeli więcej pragnie pan dowodów, mogą się one znaleźć wedle woli pańskiej !

Starzec wydał mi się wręcz niesamowity...

Po chwili zabrał głos znowu i zagadnął:

- Odniosłem wrażenie, że pan chciał właśnie wracać do miasta, czy mógłbym mu zatem towarzyszyć?

Mam panu coś do powiedzenia, proszę mi więc wybaczyć, jeżeli uporczywym kroczeniem moim w ślad za panem po jego drogach zakłóciłem spokój pański!

Ton jego głosu, zarówno jak cała forma tych przeprosin, były tak rozbijające, że pokusa szorstkiego ucięcia rozmowy - pokusa; która na

chwile jak bunt zapłonęła we mnie odbiegła mię od razu i propozycję starca przyjąłem, jakby była rzeczą najzwyczajszą.

Cóż jednak mógł mieć do powiedzenia ten osobliwy stary człowiek?

Najrozmaitsze domysły przelatywały przez głowę, a więc że może to ostatecznie któryś ze znajomych mego ojca lub tylko jakiś nieznany mi słuchacz dawniejszych mych, tak licznie uczęszczanych kazań. W mieście, w którym obecnie przebywałem, poza kolegami ze studiów i profesorami nie znałem bodaj nikogo ani też nic nie było mi wiadomo, aby jakieś stosunki mej rodziny sięgały aż tutaj.

Uderzyło mię wreszcie, że co się mnie tyczy, zostałem zagadnięty z nazwiska, lecz nieznajomy zaniedbał przedstawić mi się ze swej strony. Zapytałem go tedy o godność.

Lecz jakże wstrząsnęła mną odpowiedź którą miałem oto usłyszeć!

Nieznajomy odrzekł:

- Jeśli potrzebne panu jakieś nazwisko, proszę mię nazywać, jak mu się żywnie spodoba, na razie jednak proszę mi wybaczyć, iż nie wcześniej wymienię swe imię, aż dowie się pan ode mnie - kim jestem!-

Byłbym skłonny przypuścić jakiś spleen osobliwy, czy jakiś starczy kaprys, gdyby nie to, że słowa powyższe tchnęły tak swoistą, pełną znaczenia wymową, że raczej musiałem uczuć coś w rodzaju czci głębokiej, aczkolwiek nie podobna było mi się połapać, co właściwie mogło wywołać we mnie to uczucie.

Szedłem więc przez chwilę w milczeniu obok tajemniczego towarzysza, aż on sam jął znów mówić i tak dał się słyszeć:

- Zanim pan przybył tutaj, by podjąć nowe studia, był pan już duszpasterzem gminy pobożnych wiernych, lecz postąpił pan słusznie, porzucając dawny, już zdobyty przez siebie zawód. Potrafię mu udowodnić, że mimo złożenia ze świetnym wynikiem wszelkich egzaminów teologicznych wiedział pan jednak straszliwie mało o rzeczach, których miał uczyć innych, i że cuda duszy są dlań po dziś dzień księgą o siedmiu pieczęciach!

A więc zna mnie tylko z widzenia z czasów mego pastorstwa, pomyślałem sobie, niezbyt zresztą zbudowany tym, że taki się oto in medias res wdziera, do czego chyba nie dałem mu upoważnienia.

Nim jednak zdołałem wyrzec jakieś słowo odpowiedzi, podjął dalej:

- Niech pan porzuci lepiej wszelkie przypuszczenia, jakie nasuwać mu może moja, znajomość pańskiego losu.

Zresztą jeszcze dziś wieczór będzie pan musiał dojść do przekonania, że wszelkie domysły jego były błędne i że są jeszcze, za prawdę, rzeczy na niebie i na ziemi, o których ani się nawet nie śni mądrości szkolnej - przynajmniej mądrości waszych nauczycieli na Zachodzie! –

Dopiero teraz uderzył mię cudzoziemski akcent nieznajomego, w związku więc z podkreśloną przezeń ujemną opinią o wiedzy „Zachodu” mimo woli rzuciłem okiem na ciemną barwę jego skóry.

Musiał widać natychmiast dostrzec to spojrzenie, podyktowane przez niejasne, błyskawiczne jakieś wycucie, albowiem rzekł:

- Istotnie, nie podobna mię zaliczyć do mieszkańców pańskiego kraju!

Jestem tu całkiem obcy, przybyłem zaś jedynie w tym celu, aby wypełnić pewne zlecenie, które się tyczy - p a n a . - -

Przybywam ze Wschodu i muszę tam wracać możliwie jak najprędzej.

Tylko o b o w i ą z e k skłonił mię do odbycia niezbyt skądinąd miłej dla mnie podróży do Europy.” –

Zdumienie moje wzrosło teraz bezgranicznie i już nie potrzeba było jego ostrzeżenia, aby odjąć mi wszelką możliwość snucia dalszych domysłów.

Jakież na miłość boską „zlecenie” dotyczące się mojej osoby mógłby mieć do wypełnienia ten syn Wschodu?!

Wszystko to granoczyło niemal z wyraźnym obłędem!

Lecz i tu zbrakło mi czasu na dalsze zastanawianie się, gdyż tajemniczy towarzysz zabrał głos znowu, mówiąc:

- Są rzeczy, które mam panu powiedzieć a o których nic jeszcze wiedzieć pan nie może.

- Niech pan pohamuje swe zdumienie i wysłucha mnie spokojnie!

Po czym oświadczył mi: że jest członkiem pewnej społeczności duchowej, która ma niejako główną swą siedzibę w głębi Azji, lecz umie rozsnuwać niewidzialne swoje nici po całej ziemi i władna jest dosięgnąć każdego, kto z płomienną żarliwością serca poszukuje Boga.

—

Że drogą duchową dowiedziano się tam o mnie od dawna i że dzięki czemuś w rodzaju wrodzonej predyspozycji psychofizycznej przeznaczony jestem do tego, aby wniknąć w całkiem szczególną, bliższą styczność z jego społecznością.

Po czym opowiedział mi otwarcie historię mego życia, dając do poznania, musiał wiedzieć o mnie nieledwie więcej ode mnie samego, a choć w szczegółach zewnętrznych był oczywiście mniej ścisły z tym większą jednak nieomylnością obnażał momenty psychiczne, które dotąd sam ledwie sobie uświadamiałem.

Dreszcz lodowaty przeszył mię do szpiku kości i najchętniej byłbym ratował się ucieczką, byle tylko móc zebrać myśli...

Słyszałem oto rzeczy tak mi obce, że ledwie je wówczas pojąć byłem zdolny, a jednocześnie głęb mej istoty, którą sądziłem przed całym światem ukrytą, została mi ukazana z tak niepojętą jasnością, z jaką ja sam dotąd jej nie widziałem.

Wszystko to było mi przy tym powiedziane w sposób tak dobrotliwy i z tak niewzruszonym spokojem, jakby to były informacje jakiegoś znanego od lat całych nauczyciela i jakby tu chodziło o sprawy, po prostu same przez się zrozumiałe.

Sam już nie wiedziałem, czy śnię, czy też przeżywam to na jawie...

Lecz nie uszedł uwagi starca żaden odruch mej duszy, jakby więc dla uspokojenia mnie powiedział:

- Nie miej mnie pan, proszę, za wszechwiedzącego, jeśli dobywam to i owo z pańskiego życia wewnętrznego i staram się panu wyjaśnić!

Jeśli nawet wiem coś, co nie jest wiadome wszystkim, niemniej poznanie moje jest bardzo ograniczone.

Skoro jednak ktoś z nas otrzymuje podobne zlecenie, jak moje względem pana, zostają też zdjęte zeń przejściowe pewne pęta, krępujące jego spostrzegawczość. Dzięki temu w danej chwili ma możliwość wiedzieć o panu więcej, niż byłoby mi to dane normalnie. - -

We wszystkim tym nie ma nic cudownego!

To, co wydaje się panu tak dziwne, opiera się na równie naturalnych podstawach, jak prawa mechaniki, które usiłuje pan zgłębić w czasie obecnych swych studiów!

Zechciej pan, proszę, upatrywać we mnie tylko człowieka, usiłującego pouczyć go o r z e -

c z a c h d u c h a tak samo, jak profesorowie pańskiej akademii która kształci pana w zakresie praw czysto ziemskich !

Tak w tym, jak i w naszym wypadku jednostka ludzka tylko przekazuje dalej zdobytą przez siebie wiedzę, przekazuje ją komuś, kto jej łaknie...

Niby oliwa, kojąca wzburzone fale, rozlewały się przy tych słowach na pobudzoną wrażliwość głębin mej istoty strugi błęgiego światła, wyraźnie wyczuwać się dające.

Nadspodziewanie szybko orientowałem się w tak nowej dla mnie sferze pojęć - pytałem tylko, pytałem bez końca i na każde z pytań otrzymywałem odpowiedź, która mię coraz bardziej w tych pojęciach umacniała.—

Jakaś płomienna, nieledwie nadziemska cześć i miłość trysnęła z głębi mego serca ku temu tajemniczemu starcowi, tak iż ledwie się mogłem powstrzymać od jak najdobitniejszego uzewnętrznienia tych uczuć... Najchętniej ucałowałbym z wdzięcznością obie jego dłonie, czułem już bowiem, że niesie on mi zupełne wyzwolenie

z piekła rozterki wewnętrznej - że on jeden tylko zdolen był to sprawić. - -

Tak doszliśmy zwolna do miasta i do wyjścia z parku.

Żywiłem jedno tylko, jedno tęskne pragnienie, by starzec zechciał pozostać ze mną jeszcze.

Lecz gdyśmy wstąpili w widność pierwszych ulic, zatrzymał się nagle i rzekł:

- Na dziś będzie dosyć!

Proszę rozważyć w sercu, co pan usłyszał, a gdyby pan pragnął usłyszeć ode mnie coś więcej, to niech pan przyjdzie jutro do małej świątyni u wejścia do parku.

Będę tam oczekiwał pana o tej porze o której zwykle pan się przechadza!

Z tymi słowy pożegnał się ze mną i skierował swe kroki w boczną ulicę.

Kosztowało mnie nie lada wysiłku, by za nim skrycie nie podążyć, lecz coś nie dającego się objaśnić powstrzymało mnie od tego .

Sam nie wiem, jak dobrnąłem tego wieczora do domu. —

W każdym razie oczy moje były jak ślepe na wszystko, cokolwiek spotykałem po drodze.

Dostawszy się do domu zamknąłem drzwi i padłem jak długi na tapczan, nie będąc zdolny nawet do zapalenia lampy.

Gdym tak przeleżał czas jakiś, wlepiwszy otwarte oczy w mrok i czyniąc w myśli przegląd wszystkiego, co mnie dziś spotkało, zdało mi się nagle, że stanęła przede mną niedawno zmarła matka moja, wiodąc ku mnie za rękę tajemniczego starca.

Gdy stanęli oboje tuż u mego tapczanu, poprosiła go matka, by mię pobłogosławił.

Wzniósł dłonie nad mą głową, a lubo zjawy stały się na mgnienie oka tak wyraźne, że mógłbym nieledwie dotknąć ich rękoma, w następnej chwili rozwiały się bez śladu, tak iż

skoczyłem na równe nogi, by obejrzeć się wokół, gdzie się podziały obie postacie.

Lecz nic już nie podobna było dostrzec, zapaliłem więc lampę, znalazłszy ją po omacku na biurku.

Od dawna przebijało skroś mleczny klosz lampy łagodne, ciepłe światło, rozwidniając mały pokoik, a wciąż jeszcze starałem się na nowo wywołać napięciem woli to zjawisko - jednak bezskutecznie...

Poniechałem wreszcie daremnych wysiłków, a że wszystkimi tymi przeżyciami czułem się nad wyraz znużony, postanowiłem położyć się wcześniej niż zazwyczaj, zgasilem światło i zapadłem w sen głęboki, bez zwidzeń ..

Zbudziwszy się nazajutrz bardzo wcześnie, musiałem dopiero pomału uprzytomnić sobie, że przeżycia ubiegłego wieczoru nie były istotnie żadnym snem.

Coraz bardziej wpadałem w nastrój wprost świąteczny; jeśli zaś tego dnia oddawałem się studiom ze szczególną gorliwością, w

istocie tylko dlatego, aby prędzej płynął mi czas, gdyż ledwie byłem w stanie doczekać się wieczoru, kiedy mógł liczyć ponowne spotkanie ze starcem. —

A zastawszy go wreszcie na wyznaczonym miejscu, z trudem zdołałem na tyle opanować wybuch radości, aby przynajmniej w przyzwoity sposób przywitać się z nim w oczach osób dość licznie tam spacerujących.

Ledwieśmy skręcili po kilku krokach w jedną z mniej uczęszczanych, bocznych drózek parku, a już jałem opowiadać w podnieceniu o nadzwyczajnym, dla mnie tak wówczas tajemniczym przeżyciu, jakie mi się zdarzyło po powrocie do domu.

Przysłuchiwał się bardzo spokojnie, nie zdając się tym wcale wzruszać zauważył tylko:

- W formie o b r a z u poznał pan zatem pewną więź duchową, albowiem to, co daje mu możliwość zostania mym uczniem, ma pan do zawdzięczenia istotnie swej m a t c e . W szeregu jej przodków fizyczne komórki cielesne doznały stopniowo przemiany, która uzdolniła pana do

poznawania praktycznego i właśnie ja mam pana do niego doprowadzić.

Lecz na ogół proszę się wystrzegać podobnych obrazów, które bez pańskiej woli ani współdziałania kształtują się z sił, znajdujących się w nim samym. Siły te będzie pan musiał wpierw nauczyć się opanować całkowicie, nim zdobędzie pan pewność, że nie grożą mu dotkliwe złudzenia !

Niech pan będzie rad przede wszystkim że przynajmniej tym razem nie zwiódł pana ów obraz, co wynurzył się z niego samego!”

- Wyjaśnienie to podziałało na mnie jak strumień zimnej wody. - -

Po prostu dlatego, że nigdy przedtem nie ukazywały mi się podobne zjawy, żywiłem silną pokusę nadania tej sprawie wielkiego znaczenia; nie mogłem też pozbyć się wrażenia że wizję tę musiał wywołać nowy mój znajomy, wywarłszy na mnie wpływ taki, że stałem się zdolny do rzucenia okiem po raz pierwszy w jeden z regionów duchowych, o których mi mówił.

Nie było jednak czasu na oddawanie się rozczarowaniu, gdyż towarzysz mówił dalej:

- Gdybym chciał wieść pana na łup podobnych fantasmagoryj, mógłbym oszczędzić sobie dalekiej podróży do niego i nie zachodziłaby potrzeba odwiedzenia pana w ciele fizycznym.

Tego rodzaju „wizjonerów” jest dość, a niemało ich nawet wierzy, że pozostają w łączności z nami, Jaśniejącymi Praświatłem.

Jednak trzeba panu wiedzieć, że - choć możemy załatwić to inaczej tam, gdzie chodzi o samo przygotowywanie - jest dla nas prawem wiążącym zbliżać się do tych, którzy mają zostać szczególniejszymi naszymi uczniami, również w fizycznie postrzegalnych postaciach, zbudowanych nie inaczej, niż u reszty śmiertelników. Tym zaś, dla których ta droga nie jest przeznaczona - nigdy nie posyłamy znaków widomych, lecz kierujemy nimi wyłącznie za pomocą prądów duchowych, o ile sami się do takiego przewodu przygotowują! - -

Wprawdzie później, gdy będę już z powrotem w mej ziemskiej ojczyźnie, będzie mię

pan widywał również w postaci utkanej nie z ziemskiej materii, jak to ciało moje i ta odzież - jednak nie wcześniej ujrzy mnie pan takim, aż poskromi pan całkowicie owe siły sprowadzające wizje w rodzaju wczorajszej.

Gdyby to było potrzebne i gdybyśmy uznali pana za zdolnego przyjmowania podobnych rzeczy ze spokojem, być może, nie byłbym dlań do dzisiaj obcym i znałby mnie pan w postaci duchowej od dzieciństwa; lecz w tym też wypadku musiałbym przybyć do niego teraz w zewnętrznym ciele ziemskim, skoro pan został upatrzony, by wniknąć ze mną w ścisłe stosunki duchowe w roli mego ucznia. —

Że jednak nie przywykł pan od lat młodocianych do kształtów rzeczywiście duchowych, muszę teraz strzec go przed nim samym, gdyż przede wszystkim musi pan się nauczyć odróżniać duchowość prawdziwą od mami del.

Gdyby więc miał pan kiedyś posłyszeć tu czy ówdzie o jakiejś „zjawie”, wkraczającej nagle w życie człowieka dojrzałego i skłaniającej go do

wierzenia, że jawiąca mu się postać jest „guru”, który chce nauczać jako „ucznią”, podczas gdy jednostka, w ten sposób tumaniona, nie jest jeszcze wtajemniczona nawet w najbardziej początkowe tajniki posługiwania się swymi siłami duchowymi, to niechże pan ostrzega wówczas, póki jest po co ostrzegać; nie daj się pan omamić, choćby mu donoszono o najbardziej górnołotnych przemówieniach takiego mniemanego „guru”, jawiącego się w postaci rzekomo duchowej, czy nawet o jakichś prorocत्वach ziszczonych, jakie miał wygłosić, lub innych wyczynach w tym rodzaju! –

Nie ma pan dotąd pojęcia, w jakim stopniu świat jest przepełniony inscenizowanymi mamidłami plastycznej wyobraźni ludzkiej i jeszcze rodzaju rzekomo „nadziemskimi” zjawami, rodem z najmroczniejszych dziedzin fizycznego świata zjawisk, choć niezmiennie starają się one przedstawiać siebie tumanionemu w ten sposób człowiekowi jako istoty „duchowe”, stojące co najmniej na poziomie ducha ludzkiego! –

Jeśli ktoś bawi się z psem i uczy go sztuczek, to nawet wówczas czyni coś lepszego, niż gdyby się przysłuchiwał najbardziej na-

maszczonym objawieniom podobnych pseudo - „duchów” lub pozwalał demonstrować przed sobą ich, podziw nieraz budzące, gwałcenia normalnego biegu zjawisk fizycznych, wyczyny, które by można było nazwać lekkomyślnymi i niegodziwymi, gdyby ich sprawcy mieli podczas takich manifestacji choćby najlżejsze poczucie odpowiedzialności!

Nie od z e w n ą t r z i nie drogą rozszerzenia dziedziny postrzegania zmysłami fizycznymi odsłoni pan przed sobą światy ducha!

Dzięki przelaniu nań sił duchowych winien pan ulec przemianie w najtajemniejszej głębi swej istoty, aż stanie się pan zdolny - a pański organizm fizyczny na to pozwoli - w przytomności zmysłów ziemskich wznieść się, jak rzeczce jeden z największych mędrców pańskiej wiary, do siódmego nieba!!

Czy dosięgnie pan tych wyzryn, to tego i ja nie wiem. Lecz jakkolwiekby odniosła dziedziczna fizyczność pańska żądanej od niej przemiany, sięgnie pan raz wzrokiem w świat ducha, o którym w najśmielszych swych rojeniach i w naj-

głębszej ekstazie religijnej żadnego nie miał pan pojęcia! –

Gdy mówił te słowa, działo się ze mną tak, jak gdyby w głębi mej istoty chciała się rozewrzeć jakaś tajemna komórka, w której znaleźć miałem skarby niesłychane - lecz było tam również coś, co z gwałtownym oporem powstrzymywało drzwiczki, nie chcąc za żadną cenę dopuścić do najmniejszego ich uchylecia, - -

Może ten opór byłby słabszy, gdyby nie wsparły go potężnie wszelakie możliwe obiekcje teologiczne? –

Nie byłem jeszcze wolny całkowicie od mych pojęć dawniejszych i nie mogłem się jeszcze wyzbyć metody, jakiej mnie kiedyś wyuczono, abym mógł bronić mych wierzeń ówczesnych od napaści niedowiarków...

Szukałem więc wzorem szachistów jakiegoś zabójczego posunięcia, aby, jeśli to możliwe, dać jednak „mata” rozmówcy; lecz mimo skrzętnego przetrząsania mózgu nie zdołałem wpaść na żadne posunięcie rokujące jakiegokolwiek powodzenie.

Ostatecznie uczepiłem się pewnej, dość dziwnie mi wyglądającej wzmianki o człowieku, którego zwykłem był uważać za filar chrześcijaństwa i którego listy apostołskie dostarczyły mi swego czasu niejednego tekstu do kazań.

To, com był przedtem usłyszał, brzmi dla moich uszu zgoła nie po „chrześcijańsku”, dałem więc wyraz zdumieniu, że naraz współzałożyciel chrześcijaństwa przytoczony został jako „adept” owej tajemnej społeczności, za której członka podawał się mój towarzysz.

Zdało mi się to wręcz zbrodniczą zarozumiałością przez jedną choćby chwilę poważnie traktować myśl, że największy z apostołów chrześcijaństwa mógłby zawdzięczać swe oświecenie wpływom, podobnym tych, którym miałem się oto poddać sam wypadałoby zatem uważać go niejako mego wcześniejszego współucznia. –

Nie tając bynajmniej swych uczuć, w przemówieniu swoim uniosłem się stopniowo takim zapałem, jakbym był jeszcze w służbie kościoła i jakby chodziło tu o pobicie na głowę jakiegoś wroga mojej wiary - jakże kruchej i spróchniałej od dawna!

Towarzysz mój wysłuchał mnie jednak spokojnie, a nawet gdym skończył, milczał jeszcze czas dłuższy, tak iż zwycięstwo swe uważałem już za pewne.

Lecz potem zaczął:

- Daleki jestem od myśli wykorzeniania z pańskiego serca płomiennej czci dla tego mędrca pańskiej wiary!

Przeciwnie, wdzięczny panu jestem za tak wielkie ułatwienie mi zadania, gdyż tu oto dał mi pan sam do rąk koniec nici, której dziwaczne sploty muszą być wpierw rozwikłane, nim wolno mi będzie przenieść nań siłę wglądu, którą będzie pan mógł osiągnąć po dojściu do przekonania, że tylko nadmiar gorliwości ludzkiej dziergał owe sidła, w których pan właśnie się zaplątał!

--

Nie wiem właściwie, czy mam więcej podziwiać pańską znajomość pism czczonego przezeń mędrca, czy też zdumiewać się nad tym, że mimo tak dokładnej ich znajomości nie jest pan w stanie dostrzec, co owe pisma przy całym ornamencie dodatków późniejszych ujawniają jednak jeszcze dość wyraźnie?!

Czemu całym wysiłkiem swej dialektyki chce pan tego człowieka, człowieka wielkiego, choć skrepowanego jeszcze różnymi przesadami swej wiary, swej epoki i swego narodu, tak bardzo oderwać od tej samej ziemi, która mu niegdyś udzieliła s w e g o zabarwienia w stopniu nie mniejszym, niż dziś udziela go panu?! –

Niech pan przeczyta, byle uważnie i bez uprzedzeń, co pisze on w swych listach, a co występuje dotąd na jaw spod przeróbek późniejszych, mimo wszystko zawsze dających się poznać, a zobaczy pan wyraźnie, że spotkało go coś bardzo podobnego do zdarzenia, jakie przytrafiło się panu! - -

Jego „Damaszek” będzie pan musiał zrozumieć w każdym razie w cokolwiek p r o s t - s z y m znaczeniu niżli to, jakie mu przypisują późniejsi przerabiacze, przeświadczeni, że dobrze się tu wyda zainscenizowanie jakiegoś nadzwyczajnego zdarzenia ! –

Wie pan już przecie, że we wszystkich legendach wielkich mężów „głosy z nieba” i inne hałaśliwe interwencje z obłoków należały do akcesoryj , uważanych za nieodzowne, po pewnym

więc zastanowieniu pozna pan może i tutaj technikę podobną. –

Gdy jednak wyłączy pan wszystkie te sztuczne efekty, pozostanie wtedy człowiek, który działał z płomiennym zapalem na rzecz swych pojęć religijnych, pokąd któregoś dnia nie usłyszał o pewnym - jak to się mówi: - „sprawiedliwym” mężu w Damaszku; udał się więc w drogę, aby go odszukać, gdyż w końcu, mocno przez wątpliwości dręczony, był niby ślepiec i nie widział już wyjścia żadnego. –

U tego zaś męża zabawił długo - i znalazł u niego to - co i ja mam zleczone p a n u...

Co otrzymawszy, udał się do ludzi, którzy tylko z p o z o r n ą słusnością zwali się uczniami jednego z naszego grona. I odtąd życie jego staje się zaprawdę niełatwe, to bowiem, w czym on widział „kierownictwo d u c h o w e”, tamci tkwiąc beznadziejnie w więzach ziemskości chcieli tłumaczyć na swój sposób, r a c j o n a l i s t y c z n i e. - -

Podczas gdy on zaznacza najwyraźniej różnicę pomiędzy „B o g i e m”, którego w autentycznych ustępach swych listów nazywa

„Bogiem, Zbawicielem naszym” - pomażącym bożym: Jezusem, którego „już nie według ci a ł a” poznawać każe, a wreszcie: „Ojcem” dostojnego Mistrza Jehoszuah, o którym wiedział doskonale, że nie należy oczywiście stawiać go po prostu na równi z „B o g i e m” - potomność sfalszowała jego słowa, ile że się nie dały ściśle dopasować do gmachu nauki, jaki z przeróżnych gruzów dawnych świątyń była sobie zbudowała, wedle własnych prawideł sztuki, na fundamencie nauki Nazarejczyka. - - -

S a m już ostrzegał przed tymi, co przyjdą po nim: - „albowiem będzie czas, gdy zdrowej nauki nie ścierpią, ale według swoich pożądlivosti nagromadzą sobie nauczycieli, mając świerzbujące uszy: a od prawdy słuchanie odwróca, a ku baśniom się obróca”.

Lecz nie po to tu do pana przybyłem, aby wskazywać mu na sprzeczności jego ksiąg świętych, już wnet po ich powstaniu tak straszliwie zniekształconych przez niezliczonych mędrkujących przepisywaczy; z tekstów ich może dziś każdy wyczytać wprost wszystko, co uzna za potrzebne w nich znaleźć...

Pragnąłbym tylko otworzyć panu oczy na ślady prawdy mimo wszystko dotychczas w pismach tych zachowanej często wbrew woli dawnych podrabiaczy, z których każdy rad wierzył, iż spełnił swe dzieło tak gruntownie, że po poprawkach jego nie pozostało nic zgoła z niezrozumiałego dlań, lecz uświęconego przez imiona autorów pierwowpisu. - -

Niech pan wyzwoli się z więzów wykładni, jakiej go wyuczono, i niech pan czyta bez uprzedzeń, co doszło do nas, mając wciąż przed oczyma okoliczność, że niemało gorliwych rąk było tu czynnych przy splątywaniu nici, a jestem pewien, że uda się panu odtworzyć redakcję pierwotną tak dalece, iż znikną wszelkie sprzeczności, choćby pozostały świadectwa ograniczonego doczesnego wzroku również i istotnych autorów! -

Tak jedno słowo wywoływało drugie i tegoż jeszcze wieczora otrzymałem wyjaśnienia, których - przez czysto historyczną krytykę tekstu pogrążony po uszy w racjonalizmie - od dawna już nie szukałem, tym bardziej więc nie byłbym ich oczekiwał. - -

Zaprawdę: posiadano „klucze od królestwa niebieskiego”, lecz nie umiano już otwierać furty; by zaś nie być zmuszonym do tego się przyznawać, wzbroniono otwierania jej wszystkim, którzy by sami chcieli dobrać klucze do tej furty! - -

Wstrząśnięty do głębi duszy, rozstałem się owego wieczora z nowym nauczycielem i dobre pół nocy prześlęczałem jeszcze w domu nad tekstami biblij, by w ten sposób, jaki mi doradził, wnikać w pierwotnego ducha tych pism coraz głębiej.

Tak wieczór po wieczorze następowały teraz nauki, którem odbierał od dziwnego starca, u boku jego przebywając.

Mieszkał on, jak się dowiedziałem, pod nie mówiącym europejskim nazwiskiem w jednym z pierwszorzędnych hoteli miasta; lecz choć nie zapraszał mnie do siebie nigdy, okazywał wyraźną gotowość odwiedzenia mnie w mym pokoju, tam więc dokonało się dopełnienie tego, pod co fundament położyły nauki podczas spacerów naszych na łonie natury. –

Zostałem jego „czelą” w całym znaczeniu tego słowa. Uznał on, że się nadaję do obudzenia we mnie zdolności, których w przeciwnym razie, nawet przy tak zażyłym stosunku ucznia do duchowego jego mistrza, trzeba mu zazwyczaj odmówić, gdyż niesłychanie rzadko można natrafić u mieszkańców Zachodu na psychofizyczne po temu warunki...

Dzięki tym zbudzonym we mnie zdolnościom doznaję niewysłowionego szczęścia, mogąc już obecnie wchodzić każdego czasu w świadomą styczność duchową z moim guru, choć przebywa on w sercu Azji i dzieli go ode mnie mil tysiące; - szczęście to jest zresztą udziałem tylko nielicznych jednostek, narodzonych dla tego rodzaju zespolenia z gronem Jaśniejących; do grona tego sam bynajmniej jednak nie należę i nigdy należeć nie mogę, gdyż trzeba ofiarować się owej społeczności duchowej w duchowej swej naturze dobrowolnie i nieodwołalnie na lat tysiące przed swym narodzeniem w ciele człowieka ziemskiego, by zostać potem na ziemi do nich zaliczonym. - -

Oto pokrótce rdzeń tego, co odpowiedzieć mogę na zapytanie panów: jak zapoznałem się

sam ze sprawami, w które, jak widzicie, jestem wtajemniczony.

Lecz sądzę, że pora zakończyć na dziś naszą dyskusję!

Nie słyhać już żadnych odgłosów z wnętrza domu, a mieszkańcy Południa mają zwyczaj poświęcać godziny nocne Morfeuszowi.

Księżyc wzeszedł od dawna poza sylwetą kościoła, w dalszej wędrówce skrył się na chwilę za dzwonnica, a teraz, znacznie już mniejszy, wisiał nieruchomo w zimnej jak lód, białawej światłości wysoko ponad grupą cyprysów, których czerniawą pomrokę promienie jego rozjaśniały łagodną, modrą poświatą, otulającą cały ogród jakby mgłą przejrzystą.

W ostrym blasku księżyc mrowie gwiazdne utraciło nieledwie wszystką swą świetność, zdawało się atoli, jakby się stało wskutek tego jeszcze dalsze i jeszcze bardziej tajemnicze.

Dopiero gdy Młody skończył swą opowieść, przyjaciół uderzyła panująca wokół cisza głęboka, ta zaś zbudziła w nich świadomość późnej pory, o której wciąż jeszcze tu siedzieli, choć

gwarne z wieczora życie południowego miasta dawno już zamarło.

Wnet też ruszyli się i oni, a cammeriere, który, odprowadziwszy ich, gasił za nimi światła, był również zdania, że pora już była, aby goście zdecydowali się wreszcie opuścić zakład.

Wysokie mury domów rzucały mroczne cienie na ulice, jakby chcąc ukryć jakąś tajemnicę, i tylko tu i ówdzie wąska smuga księżycowego światła przebijała tę oćmę jaskrawym, rażącym swym blaskiem.

Kroki powracającej trójki rozlegały się donośnie, budząc echo dookoła.

Lecz nikt już nie wyrzekł prawie ani słowa: każdy z nich żywił chęć przetrawienia w sobie prawd, wchłoniętych tego wieczora, czuł, że dopiero po przespanej nocy inna jakaś pora może im przywrócić ochotę do rozmowy. —

SKALISTA WYSPA

Od owego wieczoru, spędzonego w ogrodzie trattorii, wędrowcom zdarzyła się niejedna sposobność do wymiany myśli; dwaj starsi oswajali się więc coraz bardziej ze światem ducha młodszego towarzysza.

Że zaś marszruta, jaką mieli możność sobie wytknąć, niczym się nie krępując, kierowała ich coraz dalej na Południe, przyjaciele spotkali w tej wędrówce wiele piękna.

Lecz w końcu dość mając zgiełku miast i ich nadmiaru arcydzieł, zgodnie postanowili spędzić dni kilka w spokoju na skalistej wyspie, sterczącej nad tonią morską, niby na straży, przed rozległą zatoką jednego z najhałaśliwszych miast Południa.

Dziwny traf zrządził, że stateczek turystów został niejako powitany salwami z moździerzy.

Obchodzono święto patrona wyspy, a choć właściwa uroczystość miała się odbyć dopiero

nazajutrz, uciecha świąteczna nie miała już granic. Przez całą noc, poprzedzając ów dzień uroczysty, można było niemal sądzić, że się jest w jakiejś fortecy srodze zagrożonej od wroga, tak grzmia bez przerwy radosne salwy.

Trudno było myśleć tej nocy o spaniu trzech cudzoziemcy już się zaczęli obawiać że i tu nie znajdą poszukiwanej ciszy.

Gdy jednak dnia następnego, wśród pieśń starodawnych i dżdżu płatków różanych, którymi obsypywano srebrny konterfekt świętego, przeciągnęła wielka procesja ku czci patrona, użyczając jego czcicielom tyle pożądaney okazji do zgiełkliwego uzewnętrznienia swej bogobojności, okazało się ku zdumieniu przyjaciół, że jednak będą mogli rozkoszować się tutaj upajającą ciszą, i wcześniej, niż się tego spodziewali.

Szli, teraz w oślepiającym blasku słońca poza murami miasteczka, wieńczącego przełęcz górzystej wyspy. Mijali oliwkowe i cytrynowe sady, liczne winnice i kwieciami kryte zbocza wzgórz, a wdychając aromat Południa upajali się całym kolorytem zewsząd cisnącym się do oczu.

Drzewka oliwne wszędzie w pełni kwitły. Cytryny w całym przepychu dojrzałości dochodziły do rozmiarów, jakich podróżni nigdy dotąd nie widzieli.

Wprost trudno było pojąć, skąd czerpała gleba sił tyle, by rodzić cały ten bezlik róż i ciężkich pęków glicynii, pnących się tu po wszystkich murach !

Tak doszli zwolna do stromej pochylnicy, w różnobarwnej, rozkwiecionej dzikości opadającej wśród skał nieprzystępnych ku morzu, którego przepyszny, kobaltowy błękit zlewał się niepostrzeżenie z błyskotliwą dalą, gdy u wybrzeży tuliły się do urwisk skalnych blado szmaragdowe zatoczki.

Gdzie zaś piasek morski formował płycizny, występowały tam cudne jeziorka, niby koliste roztocza płynnego turkusu.

W czarownej tej krainie kroczyli wędrowcy wąskimi ścieżkami, spadającymi wśród sypkich żwirowisk ku wybrzeżu. Już jednak w połowie wysokości dotarli do miejsca wypoczynku: - do starożytnej g r o t y M i t h r y , kędy ongi, przed lat tysiącami, oddawano cześć boską

słońcu; kędy czasu wiosennego porównania dnia z nocą odprawiali misteria święte wtajemniczeni kapłani, co w siedmiu stopniach, od oczyszczenia do oczyszczenia coraz cięższym nakazom posłuszni tu jednoczyli się ze swym Bogiem, za którego obraz uchodził w ich oczach przejaska zyciodawczyni: opromieniająca wszystką ziemię gwiazda dzienna.

Na „górze niebotycznej”, wedle ich nauki, mieszkała na ziemi naszej światłość, która w tej tajemniczej grocie skalnej objawiała się sercom, umiejąc dosięgnąć każdego, kto odważał się odbyć próbę i zdolen był odczuć w sobie i wyjaśnić w duszy symbole, przez pełnych mądrość kapłanów ukazywane jego oczom. - -

Przyjaciele wstąpili do tchnącej chłodem świątnicy, a że każdy z trójki wiedział dobrze, jak nierównie bliższe Boga było uprawiane tu ongi „pogaństwo”, niżli niejeden kult późniejszy, uważający się samochwalczo za szczególnie „miły” jedynemu prawdziwemu Bogu, poddali się więc chętnie działaniu na ich dusze tajemnicy, zdającej się tu sphywać ze ścian skalnych, na których od dawna tylko nikłe ślady wskazywały, że sztuka Wiedzących bogato je ongi przyozdobiła. —

Dość długo już oddawali się przyjaciele podobnym uczuciom, aż najstarszy przerwał milczenie uwagą:

- Dziwne to jednak, że ludzie, którym Bóg objawiał się w światłości, obierali groty w łonie ziemi dla święcenia misteryj, mających być dla nich źródłem poznania światła, miast odprawiać swe liturgie na zewnątrz, w pełnym blasku słońca!

Mimo woli - jak gdyby na tym miejscu, które słuchało niegdyś jeno najświętszych słów poznania i hymnów tajemnych, nie powinno było paść ani jedno słowo z ust profanów - przyjaciele zwrócili się ku wyjściu. Gdy zaś wybrali sobie miejsce wypoczynku pod cienistym krzewem, zabrał głos najmłodszy z trójki i powiedział:

- Ziemia jest tym, z czego bierze początek nasze ciało, i w łonie ziemi wpierw skryć się musimy - bądź w odczuciu jedynie, bądź też i zewnętrznie, jak to uważali za właściwe czynić owi wtajemniczeni - zanim będziemy mogli „narodzić się na nowo”...

Nie darmo misteria starożytnych - im świętsze im się wydawały - prawie zawsze były

obchodzone w kryptach i pieczarach skalnych, a nawet świątynie, w których całe lasy kolumn zdają się ludziom dzisiejszym czymś niezrozumiałym, odczuwane były symbolicznie jako łono ziemi. --

-

We wnętrze ziemi zapuszczony jest każdy budynek, a im się wyżej ma wznieść, t y m głębiej sięgać muszą jego fundamenty!

Tak i my czynić winniśmy: jeśli świątynia, którą jesteśmy sami, ma sięgnąć kopułą do królestwa czystego ducha, musimy zakładać kamienie węgielne w łonie ziemi, aby spoczywały tam umocnione, gdy spajac będziemy budowlę kamień po kamieniu wedle planu, jaki się objawia w nas samych.

Gdybyśmy chcieli postąpić i n a c z e j , odważając się budować na powierzchni ziemi, bylibyśmy jako owi zuchwalcy z podania o "wieży Babel", która się rozpadła, ile że budujące ją siły już nie umiały się ze sobą porozumieć...

Można by wprawdzie sądzić, że i na powierzchni poznania zewnętrznego,

owocu naszych ziemskich urojeń i mniemań, byłoby możliwe wznieść wieżę świątynną, sięgającą niebios; lecz od tego, kto buduje w sposób tyle niedorzeczny, prawdziwi Mistrz sztuki budowania duchowego trzymają się z dala; jakoż zdany jest on wyłącznie na ziemskie siły niższego rzędu, które wprawdzie służą mu czas dłuższy jako dzielni na pozór budownicowie, lecz gdy zostanie osiągnięty najwyższy poziom, gdzie mogą jeszcze władać ich siły, „pomieszany będzie język ich”, tak iż zmuszeni będą zburzyć, co przedtem stworzyli...

W grocie pastuszej narodził się według legendy Ten, którego zwaą „Zbawicielem”! - -

Z grobu skalnego, wedle tejże tradycji, powstał z martwych! - - -

Pozostawiając tu na uboczu wszelką „historyczność”, rozważcie tylko głęboką treść symbolu, utajonego w tych słowach, który - zrozumiany należycie - czyni z tej legendy naczynie prawdy najwznioślejszej! - -

Kto nie wrośnie korzeniami jak najgłębiej w ziemię, jako ów Mistrz dostojny, o którym tu mowa, ten nie będzie zaiste, jako On, „podwyższony na, niebios!” ---

Własne ciało nasze jest koniec końcem grota zbawienia dla ducha; ciało jest „z i e m i ą”, w której wewnętrzne głębie wprzód zstąpić musimy aby założyć w nich fundamenty, zdolne udźwignąć naszą duchową świątynię.

Większość jednakże chciałaby budować świątynię swego ducha w ten sposób, że jeszcze niedorzeczniej od legendarnych budowniczych wieży Babel - usiłuje najpierw sklepić kopułę, dziwując się niepomierne, gdy dzieło ich z konieczności wnet się rozsypuje w gruzy.

Poczynają w głowie, budują z myśli śmiałe łuki, nie umiejąc jeszcze w najtajniejszej głębi ciała czuciem włókien wszystkich, niewzruszenie ugruntować tego, co by mogło wesprzeć i unieść kopułę! ---

Serce jest ośrodkiem życia cielesnego, a gdy bić przestaje, nadchodzi kres życia tego ciała.

Lecz nie jest to bynajmniej przenośnią poetycką, jeśli również w związku z odczuwaniem i przeżyciami duszy u wszystkich ludów i po wszystkie czasy przypisuje się sercu wagę największą! - -

Oczywiście, nigdy anatom żaden w woreczku sercowym duszy nie wykryje. Wszystkie nasze organa cielesne odpowiadają jednak współrzednym organom duszy oraz ducha, gdy więc mówi się o „sercu” w znaczeniu duchowym, mowa jest wyłącznie o sercu organizmu duchowego, którego odruchy wywierają wszakże - za bytowania ziemskiego - wpływ nieustanny na serce cielesne i odwrotnie: tak iż serce ziemskiego ciała tworzy jak gdyby rezonator; dzięki jego wzmacniającemu działaniu docierają do naszej świadomości wszelkie przeżywania duszne i duchowe z możliwie największą jasnością. —

I zwierzę posiada też podobnie organa cielesne, brak mu jednakże odpowiadają-

cego im organizmu d u c h o w e g o, to zaś, co pospolicie nazywa się „duszą” zwierzęcą, nie jest niczym innym tylko zespołem subtelniejszych sił fluidycznych jego ciała wszakże większość ludzi w swojej ignorancji czuje się w prawie zaliczać już siły w c z ł o - w i e k u do sił „duszy”...

Ciało to, podobne zwierzęcemu, stało się niegdyś wybranym własnowolnie schronieniem człowieka ducha, gdy „upadł” z pierwotnego stanu duchowego. I to samo ciało zwierzęce, w którym obecnie przebywa, gdy tylko „pora jego” nadejdzie będzie dlań również „grota zbawienia”. Albowiem nawet w swym „upadku” duch nie utracił wcale siły twórczej, lecz potrafił ukształtować siebie wedle form ciała zwierzęcego będąc jeno w ten sposób zdolny osiągnąć zbawienie, gdyż jeno tak jest uchwytny dla świadomości ludzkiego zwierzęcia.

Kto poznał czuciem to niezmiernie głębokie misterium w nie wysłowionej jego doniosłości, temu ciało ziemskie nie będzie się już wydawało tylko zawadą i uciążliwym brzemieniem

w dążeniu do osiągnięcia świadomości w czystym duchu...

„Cokolwiek byście związali na ziemi, będzie związane i na niebie” - w królestwie czystego ducha - „a cokolwiek byście rozwiązali na ziemi, będzie rozwiązane i w niebie”. –

Nie masz zbawienia prawdziwego dla człowieka ziemi, chyba: zbawienie w ciele i cieleśnie odczuwalne dla żywego substancjalnego ducha ukształtowanego na podobieństwo tego ciała!! - - -

Dopiero gdy całym samoczuciem przez ciało ziemskie nabierze przeświadczenia o swym podobnie ukształtowanym życiu duchowym, tym samym „znajdzie się w duchu” i odtąd już wolno mu będzie, nie bojąc się złudzenia, zezwolić myśleniu swemu na wznoszenie wyniosłej kopuły, mającej wieńczyć widoczną z dala świątynię ducha. –

Wszystko, cokolwiek by przedtem budował, będzie w najlepszym razie tylko fasadą ciekawą, którą rozwali pierwsza wichura.

Gdy zaś zmuszony będzie oddać ziemi swe ciało doczesne, nie będzie świadom, kędy by mógł schronienie znaleźć jako że to, co budował, dostrzegalne t y l k o dla wzroku ziemskiego, wraz ciałem ziemskim szczególnie dla ludzkiej jego świadomości, która z duchowością nie zjednoczona jeszcze, jeno mami dła postrzegać nadal wokół siebie będzie. - -

Mógł więc zaiste powiedzieć Mistrz dostojny:

„Sprawujcie pokąd dzień jest albowiem nadchodzi noc, gdy żaden nie będzie mógł sprawować”. - - -

A ową nocą nie jest nic innego, tylko nie możność słyszenia, bez rezonansu ciała głosu własnego wiekuistego ducha tak, jakby to było możliwe tu na ziemi, albowiem „świątynia”, o której zbudowanie chodzi, innym ją określając obrazowym słowem, podobna jest symfonii, do tej zaś potrzeba nie tylko k o m p o z y t o r a i orkiestry, lecz zarówno i s ł u c h a c z a, zdolnego przyswoić ją sobie ! -

Tu przerwał Młody. Trójka przyjaciół, zagrożonych w milczeniu, spoglądała czas dłuższy

na przestwór morza, po którym mknęła przybrana flagami żaglówka, zapewne przywożąca z pobliskiego lądu nowych gości na wieczorną zabawę świąteczną.

Niby strażnice obronne wznosiły się z morza tuż przy brzegu olbrzymie skały, co tonąc teraz w żółtawo-czerwonawym blasku, pozwalały się zorientować, że tarcza słoneczna, która podczas pobytu przyjaciół na tym miejscu znikła już dla oczu poza urwistą, potężną ścianą skalną na zachodzie, w swej ku dołowi chylącej się drodze miała rychło już opuścić oświetloną dotychczas stronę ziemi.

Nikt jednak nie chciał ani myśleć o powrocie, a „Proboszcz”, czując potrzebę odpowiedzi, rozpoczął w te słowa: - To, co nam pan powiedział, po wszystkim, co dane nam było usłyszeć odeń przedtem, jest dla nas oczywiście zrozumiałe, a muszę wyznać, że powierzona mu wzniosła nauka, którą nam pan tu objawi w s t r z ą s n ę ł a mną do głębi!

Swymi radosnymi salwami bez końca mieszkańcy tej wyspy chcieli tylko uczcić na swój sposób dzień swego patrona; lecz mnie się niemal wydaje, jak gdyby witali oni nieświadomie dzień,

który nam, brany w tym świętym miejscu misteriów starożytnych, odsłonił głębie działań ducha, w których zagadka bytu ludzkiego znajduje takie cudowne rozwiązanie...

Jedno mam jeszcze pytanie, choć zdaję sobie sprawę, że ostatecznie może się okazać niedorzeczne; lecz jakkolwiek się czuło uszczęśliwione i podniesione „serce” tym wszystkim, co nam pan oznajmił, jednak w obliczu tego pytania nie dało się ono jak dotąd nakłonić do radości.

Być może zbyt wielu jeszcze niemi związany jestem z ziemią, toteż nie rad bym wyciągał tu konsekwencje, lubo wyciągnąć je potrafię. —

- Jeśli się nie mylę, - przerwał mu Starzec, - to jesteście obaj w tym samym położeniu.

- I ja też nie znajduję wyjścia, gdy mam sobie powiedzieć, że tylko w ciele ziemskim duch może być zbawiony, podczas gdy tyle więzów miłości łączy mnie ze zmarłymi, których bodaj czy wolno mi zaliczyć do tych, co dostąpili zbawienia już na ziemi. - -

- O to właśnie mi chodzi, - wtrącił „Proboszcz”. - Staję tu doprawdy wobec czegoś, co się domaga wyraźnej konkluzji, a przecie jest we mnie, z drugiej strony coś, czego z pewnością nie mogę uważać za „zło”, a co mi zabrania wyciągnięcia tego wniosku !

Straszną jest dla mnie myśl, aby wszyscy, których znałem tu na ziemi i którzy wierzyli w możliwość osiągnięcia zbawienia innymi drogami, mieli paść ofiarą zagłady ! - -

Lecz najmłodszy z przyjaciół rzekł z uśmiechem:

- Proszę mi wybaczyć, lecz zbyt pośpiesznie poczuł się pan zmuszony do ujęcia tej kwestii w sposób, jakiego nikt bynajmniej nie wymaga.

Bardzo daleki jestem od głoszenia nauk według której mieliby być zgubieni wszyscy co nie zdołali tutaj, w ciele ziemskim, zjednoczyć się ze swą wiekuistą świadomością duchową.

Powiadam tylko, że dla osiągnięcia tego celu trzeba zużytkować tu na ziemi również ciało ziemskie, że bez rezonansu, jaki daje to ciało, celu tego za życia ziemskiego w

ogóle osiągnąć nie podobna; a dalej - że wiekuisty w nas człowiek ducha tak potrafił się upodnić do ciała ziemskiego, iż dzięki tym stworzonym przez ducha warunkom powstaje możliwość zbawienia, z której możemy skorzystać tylko dopóki żyjemy w tym naszym ciele ziemskim, z którym to co w nas wiekuiste, związało się przez „upadek” w świadomość ciała zwierzęcego. —

Z tego zaś bynajmniej nie wynika absurdalne domniemanie, jakoby po wyzwoleniu się z tego ciała nie było już w ogóle żadnej możliwości zbawienia!

Lecz podczas gdy my - związani jeszcze z ciałem ziemskim - możemy brać w dziele zbawienia udział czynny, przy czym siły tego ciała, jeśli potrafimy ich używać, użyczają nam nader skutecznej pomocy — to po rozstaniu się z ciałem skazani będziemy na postawę całkowicie bierną, a więc to, co w ciele ziemskim można osiągnąć w ciągu niewielu dziesięcioleci, może trwać wtedy - wedle ziemskiego pomowania czasu — całe tysiąclecia, a nawet niezmierzone okresy kosmiczne! - -

- To brzmi oczywiście inaczej rzekł Fizyk, i na podstawie niektórych znanych mi ziemskich analogii mogę nawet łatwo wyobrazić sobie podobne, krzepiące nasze siły, funkcjonowanie ziemskiego ciała.

Dzięki temu staje mi się zarazem zupełnie zrozumiałe, że ludzie związku takiego świadomie nie znali wyższego zadania nad wskazywanie bliźnim dróg, na których by mogli osiągnąć już tutaj, na ziemi, swój cel: zjednoczenie się z Bogiem. –

Co dawniej wydawało mi się nieraz jakąś dziwną igraszką gnostyczną, teraz ukazuje się w świetle, które musi pozostawać całkowicie niedostępne dla zwykłego myślenia dyskursywnego; z pewnym i też wstydem za siebie i za innych spostrzegam, jak lekko myślenie zbija z tropu przez pojmowanie istotnie duchowy - pełni zarozumiałych, wyuczonych frazesów, ludzie uważają się za powołanych do wydawania sądu o czymś, czego sądzić nie mogą, bo brakuje im po temu wszelkich zdolności krytycznych...

W świetle tego poznania na jakichże głupców wyglądają mi owi mądrze, w śmiesznej za-

rozumiałości wyobrażający sobie, że się z wieczystym misterium załatwili, gdy wedle swej własnej, ciasnej metody szkolarskiej zdołali poszarpać do szczytu nauki istotnie Wiedzących, aby uzyskane strzępy móc potem poutykać po swych nędznych schowkach pojęciowych !

Mimo woli narzuca mi się tu obraz małej klatki, do której jakiś żartowniś wrzucił lusterko; pocieszne zwierzęta, nie wiedzą! ostatecznie co z nim począć, gdy chybił próby wykrycia po drugiej stronie szkiełka jego tajemnicy, rozkruszyły je w zębach z wściekłością, i coraz to złość je ogarniała, aż szczyrzyły zęby, że nie mogły w nim dostrzec nic więcej, prócz własnych grymasów. - -

Otóż trzeba samemu już być zdolnym wyczuwać w sobie choćby nikły odblask wiekuistego światła duchowego, ażeby pojąć, iż wzniosłe nauki obudzonych w duchu nie dadzą się wtłoczyć do przegródek tych krótkowzrocznych, odętych znakomitości!

Zabawne dalibóg widowisko czyni z siebie taki pierwszy lepszy majster kleпка od spekulatywnego poznania rozumowego, gdy zdaje

się żywić niezachwiane przekonanie, że Wiedzący przez samo przeistoczenie w duchu, o których wiemy teraz od pana, nie mają pojęcia o tych wszelkich możliwościach złudzeń, co zdolne są sprowadzić na manowce szukające poznania jednostki. Skromna znajomość pewnych skojarzeń psychicznych, którą się dziś tak puszy zawodna mądrość eksperymentalna, jak widzę coraz wyraźniej, przez Jaśniejących w duchu uważana była już przed lat tysiącami za abecadło za ledwie, ponad które poznanie duchowe Jaśniejących wzniosło się nieomal do Syriusza...

Śmieszni ci poczciwcy żyją w jakimś sztucznym światku, skleconym przez nich samych, a próżność każe im widzieć wszystko w świetle bengalskich ogni ich sofizmatorów; jakoż wmawiają w siebie, że usunęli słońce, ile że źrenice ich, od światłości słonecznej odwykłe, doznają od niego tylko oślepienia. - - -

Dość długo i jam dawał się prowadzić takim niewidomym przewodnikom ślepców, radując się ich „mądrością”, choć w końcu ograniczoność ich stała się mi aż nadto oczywistą; lecz wówczas jeszcze sądziłem, jak tylu innych w

mym położeniu, że pełni poznania duchowego człowiek dostąpić nie może...

Pan, drogi przyjacielu, przekonałeś mię w tej podróży, że jest inaczej !

Ale też muszę mu oświadczyć, że mnie już nie powstrzyma od kroczenia do końca drogą do Światłości wiekuistej, na którą dopiero co wstąpiłem pokąd - jeśli dni życia ziemskiego jeszcze na to zezwolą - już tutaj, za bytowania na tym globie, nie osiągnę szczytnego celu, który, jak czuje to obecnie, osiągnąć tu mogę!

A przynajmniej nie zwiódą mnie już w przyszłości czcze frazesy tych, co radzi pozornej swej mądrości potrafią frymarczyć pustymi słowy, uważają za drogę do poznania!

—

Najmłodszy z trójki powstawszy spoglądał w zadumie na wieczorne morze, jak gdyby nie zwróciwszy uwagi na ostatnie słowa, i było widoczne, że dziękczynienia przyjaciela pragnął nie d o s ł y s z e ć .

Siwobrody zaś rzekł:

- Ważne to sprawy, którymi zajmowaliśmy się tu dzisiaj, a wywczasy nasze na tej przepięknej wyspie zaczęły się najwidoczniej pod szczęśliwą gwiazdą!

Co do mnie, to bodaj nic nie mógłbym dorzucić do wynurzeń, przed chwilą tutaj usłyszanych, chyba to jedno, że jak sądzę, mam oczywiście jeszcze ważniejsze powody do życzenia sobie, abym nie wcześniej zmuszony był opuścić tę ziemię, aż dane będzie i mnie dopiąć celu, który dopiero w tak podeszłym wieku widzę przed sobą.

Lecz nie mogę dać wiary, aby zrządzenie losu miało wskazywać mi ów cel jako osiągalny, gdyby nie było mi sądzone zdążyć do niego dorosnąć. —

Gdybym zaś o tym wszystkim posłyszał był dawniej w taki sposób, jak się to stało w tej podróży - kto wie, czy byłbym dość dojrzały, by pójść za wezwaniem!?

Muszę wyznać, że za młodu czułem się wyśmienicie ze światopoglądem, który sobie jako tako wymyślałem, a którego podłoże sta-

nowiły wciąż jeszcze ogólne zarysy kościelnej eschatologii: przyjmowanej w latach młodości z taką wiarą nauki o „rzeczach ostatecznych”. Na mnie, gorliwym wyznawcy wpojonej mi przez wychowanie wiary, nauka ta czyniła głębokie wrażenie w egzercycjach świętego Ignacego Loyoli, odbywanych przeze mnie, pod kierunkiem jego synów duchowych, nieledwie corocznie.

Daleki od tego, aby żałować dziś takiego wychowania, może teraz dopiero umiem ocenić dostatecznie, jakie błogosławieństwo wniosło ono w me życie mimo błędnych swych założeń, gdyż nauczyłem się przy tym metodyki rozumowania, jak również powściągnięcia uczuć, co wiodło do kształcenia woli, a czego bym dalibóg życzył niejednemu z tych, co znają tylko mniej korzystne strony działalności tych fanatyków Kościoła Rzymskiego. —

A choć później nauczyłem się patrzeć na wiele rzeczy inaczej, niż mi je wówczas podawano, pozostała mi jednak surowa dyscyplina duchowa, która zarówno uniemożliwiała mi oddawanie się religijnym mrzonkom, jak i pozwalała zawsze przejrzeć rychło

na wylot sofizmaty częściej spekulacji, choćby chciały mi się przedstawić najbardziej kusząco, jako rzeczy „niezbite”.

Lecz na dnie mojej duszy legła właściwie
r e z y g n a c j a...

Stałem przed jednym wielkim i g n o -
r a b i m u s : zadowalałem się myślą, że o wie-
lu rzeczach nigdy niczego dowiedzieć się nie
zdołamy, i uważałem za jedyne wskazane,
zgodnie z sentencją poety „w s p o k o j u d u -
c h a c z c i ć t o , n i e z b a d a n e”..

Rad z możliwości zachowania w ten sposób
pewnej równowagi wewnętrznej, byłbym zapewne
niezbyt uważnym słuchaczem gdyby w ó w c z a s
mówiono mi o rzeczach podobnych tym, którym
obecnie staraliśmy się poświęcić niejedną godzi-
nę.

Dopiero w latach ostatnich, gdy coraz
natrętniej jęła mię prześladować myśl o rozsta-
niu się z doczesnością, zaszła we mnie zmiana i
jakże często czułem trawiące pragnienie wyła-
mania furty, za którą zdawała się przede mną
ukrywać tajemnica rzeczy ostatecznych. - -

Że zaś doznania w ł a s n e nastęrczyć, mi się nie chciały, próbowałem w końcu urobić sobie sąd jakiś na podstawie świadczeń i n n y c h osób; tak doszło do tego, że od dłuższego czasu oddawałem się owym studiom, o których napomknąwszy przed panem, młody przyjacielu, spowodowałem wszystkie te rewelacje, które od-tąd panu zawdzięczamy.

Przeto nie żałuję ani trochę, że tyle cen-nego czasu strawiłem na badaniu sprawozdań, których autorowie, bez zarzutu pod względem naukowym, dawali mi bądź co bądź rękojmię, że nie pozwolili się bałamucić żadnymi sztuczkami.

Lecz od pewnego czasu widzę, że jednak byłem na fałszywym tropie i że zagadki naszej wiekuistej duchowości przenigdy nie dadzą się rozwiązać drogą doświadczeń z somnambu-likami i „mediami”.

I ja też znalazłem oto początek prawdziwej drogi !

Czy będzie mi dane dojść do celu już tutaj, na tym padole, wiedzieć to mogą tylko wyższe moce! - -

Tymczasem składam dzięki tajemniczemu kierownictwu, które z okazji tej podróży - choć jeszcze jakoby z oddalenia - pozwoliło nam dostrzec w sobie pierwsze promyki wiekui-stego światła.

Czuję, że ten, który tu miał za zadanie uchylić rąbek zasłony, tyle przed nami kryjącej, unika naszych podziękowań, lecz to nie może mi przeszkodzić złożyć dzięki w głębi serca; a gdy sam zwie siebie tylko „uczniem”, oby zechciał polecić mnie pieczy tych, których czci jako Mi-strzów!

A Młody odpowiedział w te słowa:

- W tym wypadku jam tylko powinien dziękować, że dane mi było posłużyć za narzędzie w ręku dostojnego kierownictwa, które was ze mną zbliżyło, dając mi sposobność użyczenia wam tej odrobiny, którą sam dać mogę!

Lecz odtąd nie będę potrzebny, skoro zamierzacie panowie, teraz już - że dodam - czynów swych świadomi, powierzyć się nadal temuż dostojnemu kierownictwu, o którym wiecie, że i ja również zawdzięczam mu swe poznanie.

„Proście, a będzie wam dane!”

„Szukajcie, a znajdziecie!”

„Kończcie, a będzie wam otwórzony!”

Mistrz, który niegdyś mówił tak do swych współczesnych, nie jest i dziś daleki od tej ziemi, a garstka mężów, o których panom mówiłem jako o „Jaśniejących Prześwitłem”, zna go jako swego brata w postaci duchowej, w której pozostaje niezmiennie w bliskości ludzi tej ziemi - w duchowej sferze życia ziemskiego - póki ostatni z ludzi ducha, którzy skutkiem „upadku” z wyżyn światłości muszą tu podlegać ludzkiemu zwierzęciu, nie porzuci ciała ziemskiego...

A kto umie go „wzywać” przez czyny i życie, temu będzie bliski, jak i wielu innych jego braci, którzy podobnie pozostają w bliskości tej ziemi, choć już dawno porzucili ciało ziemskie!

Aby pomocy ich dostąpić, nie potrzeba nawet mieć pojęcia o istnieniu dostojnych

szafarzy pomocy duchowej i nie jest też rzeczą konieczną być formalnym wyznawcą Mi-
strza, zwanego przez nich „Wielkim Mi-
łującym”, którego znaczny odłam ludzkości
czci jako swego Zbawcę. —

Pomoc tę uzyskało mnóstwo ludzi, którzy
ani imienia tego dostojnego męża
nie znali, ani też nic nie wie-
dzieli o jego duchowych braciach,
albowiem wszystko, co tu jest wymagane, to
jedynie „wiara”, stwierdzona czynem, a nie
związana specjalnie z wyznawa-
niem tych lub innych poglądów re-
ligijnych!

Rzecz oczywista, że ta wiedza niezawodna
będzie „potępiana” przez wszystkich, którzy by
radzi podtrzymywali urojenie, jakoby zbawienia
można było dostąpić wyłącznie przez skrepowa-
nie się wyspekulowanymi przez nich for-
mułkami wiary. Atoli duch wiekuisty, któ-
remu mają oni służyć, dalej jest jeszcze od ich
„potępień”, niż od ich „błogosławieństw”, do sza-
fowania którymi w jego imieniu wyłączne uzur-
pują sobie prawo! - - -

Lecz związanie takie nie stanowi też przeszkody, aby związani owi nie mieli doświadczać na równi z innymi dostojnej tej pomocy, i jest to doprawdy rzeczą bez znaczenia, kogo czujemy się w obowiązku czcić, jako wspomóżyciela swego! -

Lud wierzący tej wyspy zanosi dziś modły do swego patrona; lecz kimkolwiek był na ziemi człowiek, którego tu za świętego uważają - czy czyny jego i żywot na cześć zasługują, czy nie - wszelako prośba, stając się skuteczną przez czyny i życie, dojdzie do prawdziwych szafarzy pomocy duchowej - tak samo jak do nich dojdzie, gdy szejk pustyni wzniesie swe serce do Allaha lub pobożny Hindus do któregokolwiek z bóstw swego panteonu, tak cudacznego dla nas, mieszkańców Zachodu. - -

A nawet dzikus w przybytku swego fetysza może dostąpić tej pomocy, jeżeli całym postępowaniem swoim, w granicach swoich możliwości poznawczych, wypełnia warunki, potrzebne do jej otrzymania. - - -

Oto najistotniejszy sens radosnej nowiny, ongi przyniesionej ludzkości przez Mistrza z

N a z a r e t u ; lecz nawet dzisiaj jakże trudno spotkać kogoś, kto by ją rozumiał! –

Z jednej strony wszystko, co d u c h o w e, o czym posłanie to przyniosło wieści, coraz skrzętniej od g r a d z a n o od z i e m i obraćcąc to w jakąś chimeryczną n i c o ś ć, rozwiewając się w nadobłocznych wyżynach, z drugiej zaś strony starano się tak stopić d u c h a z m a t e r i ą, aż w końcu nie zauważono, że pozostała w dłoni już tylko materia. ---

Kto jednak chce odszukać w sobie d u c h a, niech świadom będzie tego, że znaleźć go może tylko u k s z t a ł t o w a n e g o j a k materia, lecz ani p o g r ą ż o n e g o w niej, ani też wzniesionego p o n a d materialność wszelką, niczym jakiś bez istotny plód imaginacji !

Podobnie i duch, póki się nie z j e d n o - czy z s a m o ś w i a d o m o ś c i ą człowieka, nie może dotrzeć do niej inaczej jak po stworzeniu warunków, w których świadomość jednostki, jeszcze nie zjednoczona z duchem, przez odczuwanie może u c z e s t n i c z y ć w świetlistym życiu wewnętrznym jakiejś innej świadomości ludzkiej, już z duchem z j e d n o c z o n e j ! - -

-

A tymi synami ziemi, całkowicie zjednoczonymi z duchem, są owe nie-liczne w każdej epoce jednostki, o których mówi-łem, jako o Jaśniejących Praświa-tłem!

Nie przez to wchodzimy w styczność z ni-mi, żeśmy którego z nich lub choćby i wszystkich poznali, gdyż zbliżenie to a ni z ich, ani też z naszej strony nie zależy od upodo-bania ni życzeń osobistych - tylko spro-wadzone przez czyny i żywot na-sze nastawienie wewnętrzne roz-strzyga, czy zdolni jesteśmy uczestniczyć w życiu ich świadomości z duchem zjednoczonej, czy nie!

Lecz kto stał się zdolny chociażby naj-słabszym wyczuciem - do brania w nim udziału, temu bóg żaden nie zdołałby w tym przeszkodzić; im bardziej zaś potrafi człowiek w takiej zdolno-ści się u mocnić, tym więcej sił spłynie nań ze sfery duchowej, w której spoczywa zjednoczo-na z duchem boskim świadomość mistrzów poznania; tym więcej spłynie nań pomocy z owych nurtów wszechmocy duchowej, kędy wła-da woła Jaśniejących, czynna wiekuiście wedle praw ducha! - - -

Kto to poznał, postąpił daleko na drodze,
mającej przywieść go w nim samym do
jedności w duchu!

Będzie on zarówno daleki od uważania
„Jaśniejących” za zblakanych sekciarzy czy
mętnogłowe dusze marzycielskie, jak też unikać
będzie dopatrywania się w nich jakichś odczło-
wieczonych istot półboskich, czy jakichś marnych
czarodziejów! - -

Otom wprowadził was, przyjaciele mili, w
„pole sił” dostojnej tej pomocy...

Więcej uczynić nie mogę, lecz więcej nie
zdołałby też uczynić żaden z owych mężów,
przeze mnie tu wspomnianych, którym za-
wdzięczam wszystko me poznanie!

Od was samych teraz zawisło, ja-
kie siły zdołacie niejako wchłonąć w siebie z
owego „pola sił” duchowych!

A wtedy podziękujcie „Bogu”, co spo-
czywa w was samych, jakoby w taber-
nakulum zamknięty, za łaskę, której do-
stąpić wam dano; nie zaś mnie, któremu dane

było stać się tylko i m p u l s e m ku obudzeniu
waszej woli! –

Skały, sterczące z morza tuż przy brzegu,
tonęły od dawna w opalowej mgłę i tylko gasnące
odblaski dnia pozwalały rozpoznawać na nich
światła i cienie.

Ponad głowami przyjaciół już iskrzyły się
pierwsze gwiazdy, gdy zdecydowali się wreszcie
opuścić święty zakątek, aby podążać ścieżką,
wiodącą do miasteczka na przełęczy wyspy.

Mrok zapadł gęsty nim wędrowcy dotarli
do gospody, służącej im naówczas za mieszkanie.

Tu spożyli wieczerzę, a że po niej nikt się
jeszcze do snu nie kwapił, lecz również nikt nie
chciał znów poruszać głębokich materii, o któ-
rych tego dnia mówiono przy grocie Mithry, przy-
jaciele udali się na małą piazzetę, gdzie miesz-
kańcy wyspy i ich goście przechadzali się jak po
sali tanecznej, radując się ze skocznych melodii,
wygrywanych od ucha przez żwawą kapełę.

PRZEJAZDŹKA PO MORZU

Gdy uciecha świąteczna pełnych wesela mieszkańców wyspy ustąpiła znów miejsca trudom codziennym, trójkę przyjaciół spowiła niezmacona, iście boska cisza, darząca ich wszystkim, po co tu przybyli, szukając ukojenia dla nerwów, znużonych ustawicznym zwiedzaniem.

Każdego ranka poili wzrok na nowo bezkresem lśniącego morza, co zdało się zaledwie mieścić upusty promieni, lejące się nań bez przerwy z przepojonych blaskiem, bezdennych przepaści niebios.

Nie dziw, że w końcu zrodziło się w ich sercach pragnienie przejechania się jeszcze po tym świetlistym morzu, aby nurzając się w jasności słonecznej okrażyć wyspę, nim wybije godzina rozstania się z nią już na zawsze.

Pewnego wczesnego ranka powędrowali przyjaciele długimi krętymi ścieżkami ku wybrzeżu, gdzie już czekali wioślarze ze sporą barką, wynajętą w przeddzień na wycieczkę.

Niezbędne zapasy żywności - zarówno dla przyjaciół, jak i dla wioślarzy - wysłano zawczasu przez posłańca; zabezpieczone należycie i ukryte przed nadchodzącą spiekotą spoczywały już pod pokładem ciężkiej łodzi.

Gdy łódź wypływała na otwarte morze, przed małą przystanią wyspy manewrował potężny żaglowiec, a żółte jego żagle pęczniały pod świeżym podmuchem rannym.

Piętrzyły się wzwyż gigantyczne, rdzawe urwiska skalne, usiane w podniebiu plamkami willi wśród zieleni. Białe domeczki, jak gdyby ledwie się trzymające ponad bezdnią, sprawiały z dołu wrażenie jakichś zabawek dziecięcych.

Szerokim łukiem trzeba było opłynąć wpierw owe urwiska, by się napawać z pewnej odległości wspaniałą panoramą.

Lecz potem jęli wioślarze trzymać się bliżej wyspy, tak iż niechybnie można było ustalić na oko formację jej skał.

Zrazu płynięto dość wąską cieśniną, dzielącą ląd stały od wyspy.

Po tamtej stronie, na lądzie, ciągnął się w dal tchnący najszlachetniejszą harmonią łańcuch gór niezbyt wysokich, ponad które wspinały się tu i ówdzie szczyty wyższe.

Całe pobrzeże stałego lądu otulał jeszcze woal przejrzystego oparu, dzięki czemu lśniło się ono istną gamą barw pastelowych, od bladoróżowej do miękkiego, bławego błękitu.

W miejscu, gdzie się łódź właśnie znajdowała, roziskrzona zielonkawo lazurowa toń morską, ku niemałemu zdumieniu przyjaciół, do tyła była przejrzysta, że dno wraz z kamieniami i wszelkiego rodzaju wodorostami można było widzieć tak wyraźnie, jak gdyby się spoglądało w jakąś otchłań próżną. Nieomal sprawiało to wrażenie dość niemiłe, że barka szybuje nad tą przepaścią bezdenną jakby w niematerialnej jakowejś nicości.

Na krańcach widnokrzęgu pełzło ponad roztoczą morską kilka smug bladofiołkowych obłoczków, ostatnich świadków pierzchłej nocy, bez mała już pochłoniętych przez różowe blaski poranka, przechodzące wyżej w jaśń złota, by jeszcze wyżej zlać się niepostrzeżenie z świetlistą,

złotawą zielenią i wreszcie z najświetniejszym turkusem.

Aby pojąć piękno takiego poranka na południowym morzu, trzeba przeżyć go samemu !

Barka przyjaciół trzymała się wciąż brzegu wyspy. Strzelające w niebo bastiony skał wylaniały się tu na zmianę z urwistymi wąwozy, miejscami zaś rozciągały się spadziste dolinki, gdzie rzadkie gaje oliwne i cytrynowe sady, grodzony pomarańczarnie i zarośla mirtów sięgały nieledwie do morza.

Sterczące w morzu potężne skały przybrzeżne, podziwiane dotychczas tylko z wyspy, tworzyły tu niby bramę olbrzymią; jakoż wiosłarze nie omieszkali przeprowadzić łodzi pod tym sklepieniem skalnym.

Teraz ujrzano też wyraźnie miejsce, gdzie znajdowała się grota Mithry, przy której niedawno, owego przedwieczora, przyjaciele dowiedzieli się rzeczy tak doniosłych.

Niechybnie rozpoznali też stromą ścieżkę, po której ongi, w zamierchłości, wspinali się wtajemniczeni, dążąc od morza ku świątynicy.

Jeszcze kilka poruszeń wiosłami i oto hen w górze, ponad rozległą, urodzajną doliną, ujrza-
no na przełęczy bielejące miasto - widoczne teraz z innej strony, gdy jeszcze z rana widziano je spiętrzone ponad maleńką przystanią.

Podczas gdy z osiedla u przystani zdawało się ono wznosić amfiteatralnie ku górze, tu rozpostarło się niby diadem zębaty na płaskowyżu nad zatoką, z lewej strony osłonięte przez najwyższy grzbiet górski wyspy, gdy z prawej pannaowały nad nim jeno niewielkie pagórki.

Trzej przyjaciele chłonęli dotąd całą duszą wszystek ten bezmiar piękna, jakie dane im było oglądać, wioślarze zaś - niemało dumni z czarownej swej ojczyzny - byli niezmordowani w udzielaniu objaśnień i wskazywaniu widoków szczególnie uroczych.

Od dawna perlił się pot na ich czołach i było po nich widać, że chętnie by krzynę wypoczęli, zanim wypadnie im opływać pozostałą, większą połąć wyspy.

Łódź znajdowała się właśnie w pobliżu maleńkiej przystani rybackiej.

Kilka malowniczych, lilipucich domków otaczało niewielką zatoczkę, na brzegu zaś widniały rozpięte sieci, suszące się w słońcu.

Tam też polecili podróżni skierować barkę, a wysiadłszy na brzeg, sami byli radzi, że przez czas jakiś unikną siedzenia nieruchomo w łodzi i będą mogli rozprostować członki na gruncie stałym.

Z lubością obserwowali dzieciarnię, która to miejsce obrała na kąpielisko, pokazując przeróżne sztuki z nurkowaniem; przyglądali się czas jakiś rybakom, porządkującym sprzęt na połów następnej nocy; w końcu zaś, wraz z obu braćmi wioślarzami, pokrzepili się soczystymi owocami z zapasu wziętego ze sobą do łodzi.

Niebawem popłynęli znowu. Domki rybackie widniały już z daleka, a coraz wyższe fale gładko poniosły barkę wzdłuż potężnej ściany skalnej, tylko od czasu do czasu po przerzynanej wąskimi rozpadlinami i mieniącymi się barwnie grotami ku stromym urwiskom, widniejącym na zachodzie.

Po tej stronie wyspy, pokrytej obecnie cieniem olbrzymich skał i panującej nad nimi góry,

Francesco, młodszy z wioślarzy, znalazł pewien zakątek nadający się do wypoczynku; bez wątplenia znany on był również i starszemu z braci, wszakże młodszy unosił się nad nim tak górnymi tonami, jak gdyby ów zakątek stanowił wyłącznie jego odkrycie.

Tam postanowiono się zatrzymać na czas przerwy obiadowej i zabawić tak długo, aż wychyliwszy się spoza góry, słońce opadnie ku morzu, po czym dopiero miano podjąć ostatnią część drogi, już powrotnej.

Jednak wioślarze musieli natrudzić się niemało, stawiając czoło falom, gdyż trzeba było teraz skierować się hen na pełne morze, aby nie płynąć zbyt blisko ledwie widocznych raf, okalających tu potężne urwiska niby częstokół szpiczasty.

Lecz osądziwszy w końcu, że pora skierować barcę znów ku wyspie, bracia wzięli kurs prosto na pewną jasną plamę, widniejącą na dalekim wybrzeżu.

Zbliżywszy się ujrzano płytką zatoczkę, w głąb której nie mogły już docierać fale morskie. Nad ogromnym, wypłukanym do czysta osypi-

skiem rozścielał się idylliczny taras murawy, porośły krzewami mirtów, czerniawymi wawrzynami, eukaliptusami i drzewkami oliwnymi: - dalibóg, nęcący to był zakątek.

Niebawem też barka dzięki zręcznie wyzyskanej fali została rzucona do brzegu, a gdy wspólnymi siłami podróżnych i wioślarzy wywindowano ją na osypisko, gdzie nie sięgały fale, można było się o nią nie troszczyć i wdrapać się dalej po kamiennym rumowisku na właściwe miejsce wypoczynku.

Wioślarze przynieśli jeszcze koszyki z żywnością i napojami, a otrzymawszy, co zabrano dla nich, powrócili do łodzi, by t a m zjeść i wypocząć; trudno było doprawdy zrozumieć, dlaczego ci ludzie, którzy ich tu przyprowadzili, jako do zakątka szczególnie uroczego, nie chcą się rozkoszować pięknnością tego ustronia.

Lecz było to objawem nie czego innego, tylko tego zadziwiającego t a k t u, który najprostszego z synów Południa czyni tak sympatycznym dla rozumiejącego go cudzoziemca.

Rzecz prosta, że po wielkich miastach spotyka się też i najgorszą hołotę, wszelako

tam, gdzie zdołało się jeszcze zachować w czystości szlachectwo rasy, największy biedak nosi nędzne swe łachmany niczym książę, a wielka jego godność wewnętrzna tym bardziej na podziw zasługuje, że wyczuwa on w każdej sytuacji, co przystoi w jego położeniu, i przy całej swobodzie zachowania nigdy nie wypada z roli, jaką wyznaczył mu los w mechanizmie życia ziemskiego...

Tak też i ci dwaj bracia wiedzieli wybornie, że podróżnym będzie teraz z pewnością najprzyjemniej pozostać bez obcych, więc jakkolwiek wyciągnęliby się też bardzo chętnie na murawie, jak czynili to nieraz, bawiąc tu w święta z żonami i dziećmi, dziś jednak wydawałoby się to im czymś w rodzaju świętokradztwa, jakimś przestępstwem, które by przyłgnęło do nich na zawsze. —

Posiłek smakował wybornie, a choć nie podobna było napotkać na tej wyspie krynicznego źródła, jednakże gleba rodziła tu przepyszne owoce, nawet po korzennych przyprawach mogące ugasić pragnienie. Ponadto zaś był jeszcze sok winnej latorośli ze zboczy tej wyspy, ten wszakże był rodzaju nazbyt ognistego, aby mógł z powodzeniem zastępować wodę. —

Po dłuższym wypoczynku zabrał głos Młody i ozwał się tymi słowy:

- W miejscowości bardzo podobnej do zakątka, w którym dziś obozujemy, odebrałem był niegdyś niezapomniane, wzniosłe nauki.

Było to czasu podróży na Wschód, w którą wysłał mnie ojciec przed podjęciem przeze mnie nowej działalności.

Jak tutaj, znajdowałem się na wyspie, jak tutaj - w obliczu morza, i jak tutaj - rozłożyliśmy się wśród krzewów mirtowych i wawrzynów, choć trawy było tam dużo skąpiej i nie rozaczała ona takiego przepychu kwiecica, jaki tu nas otacza.

Miałem wówczas zobaczyć się znów niespodziewanie ze swym guru, a spotkałem go ponownie w okolicznościach nad wyraz osobliwych.

Lecz wszystko to da się również opowiedzieć w domu, przy ogniu kominka, w jakiś wieczór zimowy, gdy wyje wichura i zamieć bije w szyby, skoro już jesteśmy w tak bliskich, pełnych wzajemnego zrozumienia stosunkach. —

To jednak, co przychodzi mi właśnie na pamięć, tyczy się raczej pouczeń, jakie naówczas otrzymałem, a które, być może, należałoby jeszcze omówić, aby dokończyć to, dzięki czemu nasz wspólny tu pobyt był dotąd tak pożyteczny.

- Nie wiem, czym dzisiaj zamierza pan nas obdarować, - wtrącił Starzec, - jednakże sądzę, że my obaj, seniorzy tego grona, zgadzamy się na jedno, że dzięki panu możemy tylko coś zyskać; więc cokolwiek jeszcze ma pan do powiedzenia, wszystko to znajdzie w nas chciwych słuchaczy!

- Ja myślę! - uzupełnił promieniejący zadowolaniem „Proboszcz”, po czym ciągnął dalej:

- Wprost nie do uwierzenia, co pan potrafił już zrobić z nas obu, starych dziadów, w tym krótkim przeciągu czasu, odkąd pan odkrył narzeczcie przyłbicę! - -

Mógłbym nieledwie poczytać panu za złe, że tak często przebywając przedtem w naszym towarzystwie, strzegł pan swej tajemnicy przed nami, „profanami”!

Musieliśmy chyba uchodzić w pańskich oczach za strasznych „sceptyków”; jednak wie pan przecie, że sceptycyzm i mistycyzm znajdują się ze sobą w bardzo bliskim pokrewieństwie! –

Kto nie żywi w sobie szczypty sceptycyzmu, nie będzie czuł nigdy potrzeby dowiedzenia się czegoś o tym, co dzieje się poza zasłoną, skłonny wierzyć obrazom na niej utkanym...

Przekonał się pan jednak, że ci „sceptycy” nie są aż tak niepoprawni, jak pan może sądził!

Wszak cały nasz sceptycyzm nie był niczym innym, tylko zamaskowaną tęsknotą za możliwością wierzenia; lecz dziś ta możliwość wierzenia stała się dla człowieka czymś straszliwie trudnym!

Jużci, gdy ktoś wtedy, jak to było z panem, nagle ujrzy, że poza wszystkimi postulatami wiary tkwi właściwie zawsze jakaś niezbita, choć może najnieudolniej sformułowana prawda, budzi się w nim czujność, a konkluzje racjonalistycznego myślenia zostają sprowadzone do granic właściwych! - -

Lecz któż dziś dostępuje takich pouczeń?! –

Wszak większość żyje po prostu tak, jak pozwalają na to warunki zewnętrzne, nie troszcząc się o śmierć ni o szatana, i nie zaprzęta sobie głowy zagadnieniami, których rozwiązać nie jest w stanie.

Gdy człowiek pojmie duszą jak należy to, czym pan nas obdarował w tej podróży, chwytając się za głowę i wprost zrozumieć nie może, iż ludzkość wciąż kręci się w kółko jak w kołowaciznie i ani się domyśla, że sama siebie trzyma, jak urzeczona, na tym samym miejscu! –

Czemuż już dzieci nasze nie wiedzą o tym Wszystkim ! - - -

Czyż każde pokolenie musi na nowo odkrywać dla siebie „tabliczkę mnożenia”?

Lecz widzę, że się rozgadałem... Proszę mi to wybaczyć, gdyż i ja tylko czekam, aby młody nasz przyjaciel, który tak wiele już poznał, pouczał nas i nadal! –

Słońce wychynęło tymczasem spoza grzbietu góry; sunąc po niebie wciąż dalej, obešlo drugą stronę wyspy, przekroczyło swój punkt kulminacyjny i jakby tęsknie chyliło się teraz wyraźnie ku morzu, choć stało jeszcze zbyt wysoko, aby mogła nasunąć się obawa, że w rychle morze je pochłonie.

Jednakże promienie słońca jęły już nabierać złotawych odcieni przedwieczornych, a w światło jego poczęły się też zwolna zakradać tony różowoczerwone, tak iż oddale płonęły już mieszaniną barw coraz żywszych, a i поблиза przenikały odcienie cieplejsze.

Wzrok poił się tym pięknem do syta i dziwne się tylko zdawało, jak można było dotąd wytrwać w szarzyźnie szerokości północnych...

Musieli to być jednak najdzielniejsi z dzielnych, którzy się niegdyś odważyli wyszukać sobie strony tak niegościnne - jeśli nie byli to właśnie najwięksi nędzarze, przekładający krzywdę bezsłonecznego lata nad dalszą pańszczyznę u bogaczy, którzy sobie uroili, że wszystek przepych Południa tylko im winien.

Takie i tym podobne myśli zaprzętały głowy trzech przyjaciół, gdy po niedługiej pauzie zabrał głos Młody i ozwał się w te słowa:

- Widzicie, drodzy moi przyjaciele, znajduję się często w dość przykrej sytuacji, wciąż występując w roli nauczyciela wobec was, tyle ode mnie starszych. Zwicie mię swym młodym przyjacielem, z czego, jak sądzę, winieniem wysnuć wnioski, że ta różnica wieku jest dla was niejako usprawiedliwieniem wielu rzeczy, które was uderzają w mej osobie, choć wiecie obecnie, że mniemana ta „dziwaczność” ma swoje podstawy! –

Lecz starsi zgodnie zaproponowali, stwierdzając stanowczo, że uważaliby za zaszczyt „dla siebie, gdyby Młody zechciał się zaliczyć do ich grona, i że dlatego zapewne musiał czynić na nich wrażenie tyle młodszego, iż sami uważali siebie bodaj za z b y t s t a r y c h do podobnej przebudowy myślenia. - -

Na to jał dalej mówić Młody, a głos jego drżał z głębokiego wzruszenia:

- O przyjaciele, jakże względne są pojęcia „młodości” i „starości” i jak niewiele znaczą w świecie ducha!

Za „wiek” jest tam uważany tylko ten okres czasu, który zeszedł duchowemu człowiekowi wieczności od chwili, gdy poczuł w sobie impuls do powrotu do swej praojczyzny.

Znacznie od was młodszy, jeśli chodzi o lata doczesne, ośmieliłbym się jednak być „starszym” od was w duchu, gdyż inaczej nie byłoby mię spotkało to, co mię spotkało. - -

Jest więc mym obowiązkiem was pouczać, choć doprawdy nie wydaje mi się, bym jako nauczyciel miał jakie zasługi! - - -

Toteż nie nauczam was niczego, co by mnie osobiście zawdzięczało więcej niż kształt, formę słowną - przekazuję wszak tylko to, co ze swej strony sam niegdyś otrzymałem.

Chciałbym więc dziś mówić o tym, czego dostąpiłem ongi w podobnym ustroniu, a jeśli macie zamiar mię wysłuchać, dowiecie się nie-

jednego, czegom dotychczas nie potrafił w opowieści moje włączyć!

Na rzeczy, które w tej podróży oblekamy w szatę słowną, można patrzeć z przeróżnych punktów widzenia, tym zaś sposobem z każdego nowego stanowiska otrzymujemy ich obraz coraz inny! - -

A że to, co chciałbym dziś wam powiedzieć, wiąże się jednak z poprzednim, winno wam przeto jeszcze bardziej rozświetlić wszystko przeze mnie dotychczas powiedziane. - -

Chcę udzielić głosu samemu Mistrzowi, jak mówił niegdyś do mnie, gdy na pewnej wyspie na Południu spotkałem się z nim znowu, a on raczył się objawić mej duszy...

Dalsze słowa czerpię ze swego dziennika:

„Zdalaśmy tu od zgubnych i nieokiełznanych pożądliwości z Zachodu !

Zdalaśmy od wszystkiego co może być przedmiotem utęsknienia wnuków twych praojców w zakresie życiowego dobrobytu ! –

Na tej wyspie po której stąpamy, tylko my dwaj dziś żyjemy, bo my dwaj tylko żyjemy świadomie ! –

J e d y n i e my staramy się zdać sobie sprawę z tego co wyższa jakowaś istność umiała by dostrzec ...

Pytam więc ciebie - o ty, którego umiłowała dusza moja - jakże potrafisz siebie odczuwać nie lękając się bezkresów swej duszy!?! - - -

Lecz na to mi odpowiesz:

Ci, którzy żyli przede mną, dalibóg niczym się ode mnie nie różnili, a lepiej od nie jednego bodaj z ludzi nam współczesnych umieli stawać się panami życia!

Cóż mi stąd, że ponad wszystkich wzniósłszy się pradziadów poczuję się na jakiejś wyżynie, która zaiste na nic mi się nie zda, skoro zmuszony będę dziś już może opuścić ten glob na zawsze? !

Lecz ja co innego chcę ci rzec te więc posłyszysz ode mnie słowa:

Zgoła niemądry się okażesz, przyjacielu mój, jeśli pozwolisz się usidlić takiemu rozumowaniu !

Tak mówią tylko ludzie małego serca i dusze przyziemne, ciebie zaś widywałem już dalej patrzącego i uczyłem cię ogarniać wzrokiem orła b a r d z i e j r o z l e g ł e przestworza !

Byłbyś zwierzęciem zaprawdę, gniciu podległym, t r u p e m mogącym być jeno mierzwą tej ziemi, gdybyś nieubłaganym jej prawom pozwolił nad duszą twą panować !

Chcę wszakże nauczyć cię c z e g o i n n e g o, a przyrzeknij mi że nie pozwolisz nigdy wodzić się na pasku niższym siłom ziemi, choć n i g d y też nie powinienesz ziemią g a r d z i ć ; albowiem tylko w ciele ziemskim dostąpić możesz z b a w i e n i a , jak długo musisz jeszcze dźwigać brzemię żywota ziemskiego ! - -

„Chcę cię nauczyć zmieniać szatę ziemską na skrzydła cheruba ; -

chcę cię nauczyć: przez siły tej ziemi wlatywać ku gwiazdom! –

Kroczmy samowtór, a poznasz niebawem, że ukazuję ci szlaki, dotąd z pewnością ci nieznane, lecz chcę ci zarówno pokazać, jak na ścieżki te wstępować i jak nimi do końca kroczyć aż do celu najwyższego! - - -

Przecz bylibyśmy się zesłi, gdybym nie potrafił ci wyświadczyć takiej przysługi miłości?!
- - -

Jak którzy cię niegdyś nauczali, powiadali ci:

„Jakaż pochodnią mądrości jest rozum ludzki, w s z y s t k o rozświetlić umiejący, co-
kolwiek by więziło w ciemnościach świadomość
człowieczą!”

Lecz wiesz już nie od dzisiaj, że r o z u m
twój czynił cię niewolnikiem tysięcy p o m y ł e k ,
a m ą d r y zaczniesz być odtąd, odkąd sobie
powiesz: że r o z u m twój nie rozwiąże
nigdy zagadek, otaczających cię w ziemskiej
pomroce! - -

Jeśliś pojął nareszcie tę rzecz najważniejszą, będę mógł pomagać ci dalej, a jeśli mi z a u f a s z, zaprawdę nie doznasz zawodu! –

Słysz! Wszystko, czym darzy cię wiedza rozumowa, płynie z mózgu - najmniejszej części twego ciała, atoli wiedzę, mającą być twą karmią wiekuistą, musi przyswoić sobie całe ciało twoje!

Na tym budujmy dalej!

Jakoż winno być dla cię pewnikiem, że ciało twe jest ci nieodzowne, jeśli do całkowitego chcesz dojść poznania!

Poznania tego z dnia na dzień zdobyć nie podobna, lecz kto go szuka z najgłębszej potrzeby serca, osiągnie je z pewnością! –

Jak każde głębsze wzruszenie duszy niezwłocznie wywołuje współwibracje cząsteczek wszystkiego twego ciała, tak też twę ciało musi nauczyć się wibrować, gdy coś duchowego muśnie twą świadomością.

Z czymkolwiek z rzeczy ducha się spotkasz, wiedz: dopiero wtedy n a p r a w d ę to

ogarniesz, dopiero wtedy przyswoisz sobie całkowicie, gdy każde włókno ziemskiego twego ciała chciwie po to sięgnie, by podobnie rąk dwojgu, co szukają się wzajem, pozwolić się potem uchwycić!

Jedynie w takim „ogarnięciu” całego twego ciała będzie mogło zjednoczyć się z tobą to, co przybywa do cię z ducha; a inaczej, niż tylko przez absolutne zjednoczenie, nigdy się nie da osiągnąć to, co jest istotnie z ducha! ---

Rozmyślania nad rzeczami ducha mogą ci w pewnej mierze być pomocne, wszakże do celu cię nie doprowadzą!

Zdołasz wprowadzić w ten sposób nabyć sporo wiedzy doczesnej, lecz gdy kiedyś zmuszony będziesz zrzucić ziemskie ciało, wiedza ta będzie dla cię utracona i nie przyda ci się na nic!

Wiedza duchowa innego zaiste jest rodzaju!

Będziesz mógł ją zdobyć tylko wtedy, gdy z przedmiotem tej wiedzy zdołasz się zjednoczyć! ---

Gdy wiedza doczesna jest zawsze tylko jakimś rozumieniem, jakimś ujmowaniem, jakimś odkrywaniem, jakimś wynajdywaniem, jakimś wywnioskowywaniem czegoś, to w duchowej, wiecznotrwalej wiedzy chodzi o bezpośrednie w sobie doznawanie! - -

Nie zdołasz w duchowości dopiąć niczego, jeśli jej nie pozwolisz samego siebie przeistoczyć w najgłębszym wnętrzu twoim i sam się nie staniesz tym, co pragniesz poznać! - - -

Dziś jeszcze zda ci się to niewymownie trudne, albowiem myślenie twoje nie nauczyło się dotychczas podlegać twojej woli.

Lecz nie wcześniej dosłyszysz w sobie głos ducha, aż zdołasz nakazać myśleniu twemu milczenie i nauczysz się powściągać nadmierną jego pychę!

Później, gdy z czasem już dojdiesz w zjednoczeniu do poznania przez wiedzenie bezpośrednie, będziesz mógł hojnie wynagrodzić myśleniu swemu rezerwę, którąś mu przedtem nakazać musiał!

Będiesz miał wtedy możliwość użyczyć myśleniu swemu nowej podstawy, na której odtąd będzie mogło budować z t a k ą ż pewnością, jak tam, gdzie za fundament służy mu świat zmysłów.

Zdolność myślenia jest cudownym darem, lecz wtedy jeno błogosławieństwem będzie dla cię, gdy dasz myśleniu twemu trwałe podwaliny. - -

Nie sądz, że te podwaliny dopiero stworzy czy wynajdzie potęga twej myśli, jeśli nie chcesz ulec złudzeniom, jakie od kolebki tej ziemskiej ludzkości aż po dziś dzień były w mózgach źródłem tysięcy pomyłek! - - -

Sprawa wciąż od nowa rozbija się tu o trudność, że ludzie radzi by w y r o z u m o w a ć to, co może być wyłącznie w doznaniu wewnętrznym przeżyte, po czym dopiero materiałem myślenia stać się m o ż e.

Sądzą, że w myśleniu poznają duchowość, nieświadomi tego, że nie da się ona nigdy objąć myślą, pokąd nie zostanie przeżyta, tylko bowiem w przeżyciu może ona prawdziwie być odczuta; w przeżyciu, nie mając

cym z poznawaniem rozumowym nic wspólnego. - -

Poza myśleniem wszelkim, dzierząc swe myśli mocno w cuglach, jako myślenia swego władca, ucz się oglądać w samym sobie wszystko, co w tobie dostrzegalne, przez pograżenie się w wewnętrzne twe otchłanie: - potem dopiero możesz dać folgę myślom, gdyż dopiero potem myślenie twe nadawać się będzie do wyciągania wniosków z duchowego o duchowym!” - -

Tak wówczas zakończył Mistrz swe przemówienie!

Sądzę zaś, że nie było chyba zbędne dać je panom poznać?!”

- Oczywiście, że nie - odparł Fizyk, - toteż na równi ze wszystkim innym jest dla mnie rzeczą jasną, że rozumowanie nasze zawisło zawsze od przesłanek, z których za każdym razem wychodzi !

Jeśli dobrze rozumiem, to nawet pański guru nie wątpił bynajmniej o słuszności wniosków logicznych, tylko poddał pańskiej rozwadze,

że rozumowanie nasze jest, że tak powiem, o b o -
jętne względem podstaw, na których się
opiera, tak iż nawet wnioski wyciągnięte w spo-
sób logicznie nie do obalenia mogą być koniec
końcem fałszywe, jeżeli są oparte na prze-
słankach od początku nie dość pewnych.

Rozumiem też wybornie, że gdy mamy
myśleć o rzeczach duchowych, potrzeba nam
po temu podstawy doświadczalnej zu-
pełnie tak samo, jak posiadamy ją de facto, my-
śląc o rzeczach fizycznych, i że błędem jest
sądzić, jakoby namiastkę takiego doświadczenia
dało się kiedykolwiek znaleźć w s a m y m m y -
śle ni u. - -

Wszystko to, oczywiście, nie budzi już we
mnie wątpliwości, zadaję sobie tylko pytanie,
jakby s a m e m u dojść do podobnego doświad-
czenia duchowego, które winno p o p r z e d z a ć
wszelkie myślenie o rzeczach ducha; a t u t a j
rozpościera się przede mną grunt nader niepew-
ny, tak iż się waham, czy mam mu zaufać. —

Młody zaś odrzekł:

- Jeżeli wszystko, co wolno mi było powie-
dzieć, nie wyjaśniło panu tego dostatecznie,

niechże i co do tego punktu przemówi doń sam Mistrz, gdyż i mnie niegdyś dręczyło to samo pytanie i w dzienniku moim wiernie zapisałem odpowiedź Mistrza, którą wówczas otrzymałem.

A więc tak niegdyś mówił do mnie Mistrz :

„Przywykłszy od lat najmłodszych szukać rozstrzygnięć ostatecznych jedynie w swym rozumowaniu, dopuściłeś, aby zamarły w tobie siły, za sprawą których winna na cię spłynąć pewność bez pośredniego poznania !

Atoli wszelka pewność jaką ci kiedykolwiek dać może twoje myślenie, jest tylko jakby cieniem owej wiedzy niezawodnej, którą osiągniesz w głębi siebie, jeśli potrafisz się wznieść ponad myślenie swoje i samemu wniknąć do tego królestwa, o którym myślenie nigdy ci wiadomości żadnych dać nie zdoła.

O tym królestwie sam dostarczyć musisz wieści myśleniu swojemu, w przeciwnym wypadku sprawi ci ono zawód !-

Ale chcąc trafić do wąskiej furtki, wiodącej do przeżywań samo-czucia w całej pełni, będziesz musiał poniechać świadomie wszelkich utartych gościńców, utorowanych przez myślenie ziemskie!

Nawet mądrość W e d jest pod wielu względami tylko wymysłem niedorzecznym, jeśli chodzi o znalezienie owej furtki, zaiste wążutkiej!

Łatwymi, pospolitymi szlaki zdążają Upaniszady, również i księgi Awesta kroczą szerokimi gościńcami bałamutnego myślenia, lubo w tym wszystkim można tu i ówdzie natrafić na ś l a d y do furty żywota.-

Zarówno i to, czego nauczał ów Sidharta, zwany Budda, n i e prowadzi cię do celu, acz kryje się w tym niemało pełnego mądrości poznania, którego owocem m y ś l e n i a nazwać zaprawdę nie podobna!

Niemało było zapoznanych mężów, u s i ł u j ą c y c h wskazywać ową ścieżkę, lecz z nich j e d e n tylko stał się powszechnie znany ludzkości, albowiem nie tylko u s i ł o w a ł, lecz

p o t r a f i ł ją wskazać przez czyn swój i ż y-
w o t ...

Dla was, chrześcijan, stał się On później „Bogiem” i z w i e c i e się od Jego imienia, lecz daremnie szukam wśród was jednostek, wstępujących w Jego ślady.---

Różnymi czasy wierzyło niemało g ł u p-
c ó w , że są Jego towarzyszami, starając się
G o b e z m y ś l n i e n a ś l a d o w a ć we-
dle nader bałamutnych wiadomości o Jego żywo-
cie, a nawet w czasach dzisiejszych można na-
potkać maniackie, fanatyczne dusze, usiłujące
upodobnić się powierzchownie do Jego ob-
r a z u i próbujące bezwstydnie posługiwać się
wzniosłymi Jego słowy do celów samolubnych.

Ci obłąkańcy już sprofanowali Jego imię;
lecz i wśród tych, którzy uczciwie n a -
ś l a d o w a ć G o chcieli, niemało było takich,
którzy nieświadomie Mu bluźnili, sądząc że
do nauk Jego się stosują. - -

C u d e m jest zaiste, że mimo wszelkie
potworności, jakimi splamiło się człowieczeństwo
z Jego imieniem na ustach, On wciąż jeszcze kro-

czy czcigodnie poprzez dzieje ludzkości tej ziemi!

- - -

On jest jeden z tych bardzo nielicznych, którzy musieli dać o sobie świadectwo, czym są. - A świadectwo Jego, w obłędzie urojeń, fałszywie wytłumaczono i „Boga” zeń zrobiono; ze słów zaś Jego sklecono naukę, zmieszaną z pogaństwem starożytnym, nie przejmując głębokiej mądrości ukrytej, którą Jemu, Wiedzącemu, ujawniały pogańskie nauki o bogach. - -

Od najdawniejszych czasów takie popełniano błędy !

Atoli On - jeden z naszego grona - tylko w potędze mówienia niepomniernie przewyższający nas wszystkich, braci Jego w królestwie ducha, był zaprawdę spośród nas jedynym, albowiem ludzkości całej potrafił ongi wskazać wąską ścieżkę, wiodącą do ciasnej furty żywota wiekuistego, żywota w pełni świadomości...

Największemu mędrcom nie może przynieść ujmy żadnej, jeśli od Niego przyjmuje wskazania na drogę! - - -

A rzekł On również swego czasu, że z domu „Ojca” swego, gdzie, wedle słów Jego, jest mieszkania wiele, pośle kogoś, kto nosić będzie znak posłannictwa swego, i że Jego przyjmie, kto przyjmie o n e g o , którego On przyśle...

On wskazał drogę - wąziutką ścieżynę - wiodącą do furty żywota, i nauczył nas tę furkę otwierać!

Kto zaś po Nim przyjdzie, będzie mógł dowieść posłannictwa swego jeno przez to, że będzie umiał wskazać tę s a m ą drogę.

Droga ta jest zresztą j e d y n ą - szczęsny, kto na nią wstąpi! - -

Wszelako patrzcie, jak ją wskazywał Ciesła, który podobnie nam, był Mistrzem żywota prawdziwego!

Jego żywot był zarazem nauką Jego! Daremnie byście się trudzili, chcąc w rumowisku późniejszych fałszerstw, jakich się dopuszczono względem pierwotnych opowieści o Jego żywocie, wyszperać jakąś mądrość r o z u m o w ą , której by On mógł poznanie swe zawdzięczać!

Nie z Egiptu i nie z Indii przyszła doń mądrość Jego; kto zaś jest jej godzien, w każdej epoce tę samą mądrość zdoła wykryć!

Wedle własnych słów Jego, objawiała się w Nim moc i mądrość Jego „Ojca”, mądrość zaś tego „Ojca” nie jest dziełem myśli, jeno bytu w pełni świadomości! - -

I ja też, o luby, nie zdołam inaczej przywieść cię do poznawania na jawie w doznaniu bezpośretnim, jeśli cię nie powiodę tą samą ścieżką, na którą wkraczać uczył dostojny Mistrz z Nazaretu, który ongi w „drogę” sam się przeobraziwszy, miał prawo rzec z całą słusnością: - „Jam jest droga i prawda i żywot”. - - -

Chcę ci więc dzisiaj ukazać tę drogę i jasną dać naukę, jak zdążać najprędzej ścieżką wyżynną, co powiedzie cię do furty światomego w duchu samo przeżywania.

Otwórz swe serce i słysz!

Musisz stać się zdolny doświadczyć w samym sobie najbardziej niezgłębionego misterium!

Oto ma się przed tobą odsłonić tajemnica ostateczna!

Chcę cię powieść ku najwyższym twym szczytom, a u mego boku ucz się spoglądać bez trwogi we wszystkie pod tobą otchłanie!

Jeśli pójść za mną zechcesz, dosięgniesz najwyższej twojej wyżyny i w blasku wiecznych śniegów ducha ujrzysz twe gniazdo wiekuiste, hen ponad mglistymi nizinami, kędy ścielą się bezdroża ziemskiego twego żywota! - - -

Słuchaj więc i pójdz za mną, skoroś powołany, by iść za mną, a przez to podążać za mną jesteś zdolny! - -

Od zarania wieków niewolnik swego upadku, pogrążon byłeś w najgęstszym mroku, skąd jedynie moc boska mogła cię wyzwolić.

Wola własną związany z potęgą władców zewnętrznego, fizycznego kosmosu, poddany „książęciu tego świata”, stałeś się ofiarą

swych myśli - ty, coś panem był przedtem
wszelkiego myślenia! –

Oto jarzmo, z którego masz
być wyzwolony! - -

Gdyby ongi nie chadzał po tej ziemi Ów, o
którym mówiłem ci uprzednio: którego zwiemy
N a j w i ę k s z y m z Miłujących, cel, który zwiastuje
tobie, byłby osiągalny tylko dla nielicznych...

On jednak zdołał tak odmienić „aureę” tej
ziemi, że wszyscy żywiący „dobrą wolę”
wnijścia do Światłości uzyskują również siły
pozwalające im u c z y n i ć z a d o ś ć tęsknocie
ich woli. - -

Jakoż dziś może dostąpić „zbawienia”
wielu, wielu tych, którzy by bez Jego czynu
miłości na Golgocie musieli paść ofiarą zatracenia
- lub co najmniej pójść na pastwę mąk przez
niezliczone tysiąclecia, zanim by mogli wreszcie
doznać wyzwolenia i ratunku. - - -

Dzięki Niemu ł a t w o ci teraz samemu
się wyzwolić, jeśli tylko chcesz zbawienie
osiągnąć! –

Poniechaj wszelkiej mądrości wymyślonej, choćby ci się „słowem bożym” wydawała, a odnajdziesz drogę do mądrości czynu i żywota, do której głębin nie przenikają nawet wzniosłe nauki największych mędrców ziemi; albowiem płynie ona z bezdni, których myślenie żadne przenigdy zmierzyć nie zdoła! ---

Staraj się w sobie o prostotę dziecka, abyś dzięki niej zdołał się wyzwolić z ciasnego i przedziwnie spletanego labiryntu, w którym cię więzi to, co nie jest tobą samym! --

Zaiste, łatwiej wielbłądowi czy choćby powrozowi z jego włosia - przejść przez ucho igielne, niż „bogaczowi” umysłowości ziemskiej wniknąć do Królestwa Niebieskiego !!

Znaczy to: że wszelka mądrość rozumowa głupstwem się staje, gdy chodzi o znalezienie w sobie samym ducha żywota!

—

Nie masz tu „treningu” żadnego, żadnych szkolarskich ćwiczeń, wiodących do celu, i nic nie może dać rękojmi niezawodnej, prócz

c z y n u i bacz nego na wszystko, skorego do czynu
ż y c i a ! –

Tylko przez baczny czyn może Zda-
żający posuwać się naprzód i tylko w ten sposób
odłoni się przed nim t a j e m n i c a , którą
d a r e m n i e usiłuje zgłębić, pokąd się o to kusi
w m y ś l a c h ! - - -

A gdy pojmie, o co tu chodzi, z uśmiechem
wspominać będzie zaślepienie, które kazało mu
przedtem uważać za osiągalne dla m y ś l i ludz-
kiej to, co, jak się okazuje, ogarnione być może
tylko dzięki ł a s c e z wysokości.

Tak pojmowali to starożytni a i dziś nie
podobna inaczej pojąć tego co dla ogółu pozosta-
nia na wieki t a j e m n i c ą , choćby tysiące jed-
nostek zdołały jej z czasem dostąpić...

Do tej t a j e m n i c y nie przez to się
zblizamy, że dążymy do zdobycia jakichś sił
osobliwych; lecz kto jej dostąpi, b e z pomocy ni-
czyjej posiadać iście c u d o w n e siły - k a ż d y
i n n e - te właśnie, które mogą mu być pomocne
do udoskonalenia siebie. - -

Niemożliwa jest w tym jakakolwiek dowolność; człowiek osiągnąć może tę tajemnicę tylko tak, jak duch sam wedle wiekuistego, założonego w nim prawa rozdawać może swe bogactwa. —

Kto zaś przekłada dary ducha nad szczęście zjednoczenia, będące warunkiem otrzymania owych skarbów, nie osiągnie, rzecz prosta, ni tego, ni tamtego, stając się jeno na mnogie, mnogie tysiąclecia ofiarą złudzenia. --

Albowiem szczęście zjednoczenia jest celem ostatecznym, dary zaś ducha, jakich będziesz mógł wówczas dostąpić, są prostym skutkiem osiągnięcia ostatecznego celu.

Początek twej drogi znajduje się tutaj, na ziemi - w życiu codziennym go znajdziesz; wszystkie etapy tej drogi położone są jeszcze w sferze ziemskiej; - dopiero po przebyciu kolejnym ich wszystkich zdołasz naprawdę oderwać się od ziemi i wniść do królestwa ducha, kędy cię czeka twój cel ostateczny. ---

O, przecz tyle jednostek, żywiących płomienne pragnienie dopięcia ostatecznego celu, nie może się wznieść do poznania tej prawdy, że ów cel ostateczny mogą osiągnąć tylko wtedy, gdy początku swej drogi szukają w codzienności i z niej wychodząc wypatrują nieustannie najbliższego etapu drogi, jako pierwszego celu pośredniego; a gdy doń dotrą, otwiera się znowu jako cel etap najbliższy!

—

Sądzą natomiast, że już początek drogi odszukać zdoła jedynie ten, kto umyka przed wszelką powszedniością i buduje sobie świat fantazji, zawdzięczający swe istnienie wyłącznie potędze wyobraźni --

Stąd wypatrują ludzie celu ostatecznego, poczytując go za osiągalny bez celów pośrednich, aż padają w końcu ofiarą swych złudzeń, stwarzając sobie rzekome królestwo ducha tak samo z nicestwa wyobraźni, jak przedtem, gdy się karmili ułudą, że umknęli przed powszedniością ziemską i dawno wstąpili na drogę do ducha...

Ludzie nie potrafią brać siebie w karkby, aby przejść wytrwale drogę życia: woleli-

by znaleźć się u celu już nazajutrz; s a m i sobie tworzą iluzje, którym oddają się potem w ułudnej rozkoszy, a rozkosz ta kończy się z chwilą, gdy ciało ziemskie przestaje podsycać siły, z których sklecili oni sobie świat ułudy. - -

W danym wypadku ileż już lepiej doprawdy radzą sobie ci, co poznawszy złudność takich mrzonek, żywią dla nich tylko pogardę, aczkolwiek nie przeczuwają, że w samych sobie, z dala od rojeń wszelkich, mogliby znaleźć drogę prawdy, która jest drogą żywota! –

Ty jednak nie bądź jako ci, ni t a m c i i pójdź raczej za moją nauką, wkraczając od początku na drogę żywota, drogę bacznego na wszystko czynu, aby etap za etapem przebyć ją do ostatecznego celu, nie pytając, kiedy też doń dotrzesz!

A gdybyś nie miał go osiągnąć już tutaj, za życia ziemskiego, to z pewnością będziesz mógł rychło uznać go za osiągnięty, choćbyś musiał pożegnać się z doczesnością przed dopięciem celu; po śmierci bowiem będzie ci mogła być okazana pomoc, nieuchwytna dla n i k o g o , kto już tutaj, w życiu docze-

sny, nie wkroczył na drogę żywota i czynu! - -

T u , w codzienności swojej, wśród zajęć zawodowych i ziemskich swych obowiązków masz odszukać ów początek! - - -

A „początek” ów nie jest niczym innym, tylko poznaniem, że nawet życie c o d z i e n n e można rozpatrywać i czynnie przeżywać ze stanowiska żywota wiecznego.

Pierwsze z a d a n i e polega tedy na tym, aby się nauczyć traktować codzienność jako cząstkę życia wiekuistego i z żelazną wytrwałością tak spełniać wszelkie obowiązki codzienne, by móc żywić pewność niewzruszoną, że przez wieczność całą nie będzie się żałowało niczego, cokolwiek się w codziennym życiu swym uczyniło, albo uczynić poniechało.

Pierwszy cel owej drogi, którego należy dopiąć, polega na zdobyciu spokoju czystego sumienia, który przy tak wytrwałym spełnianiu obowiązków codziennych wcze-

śniej lub później, lecz z wszelką pewnością spłynąć na człowieka musi.

Skoro cel pierwszy zostanie już osiągnięty, wyłoni się sam przez się cel drugi, polegający na tym, aby poza obowiązkami życia powszedniego poznać jeszcze inne, wprawdzie w codzienności za „obowiązki” nie poczytywane, lecz które wtedy będziesz jako obowiązki odczuwał. —

Obowiązki te winienesz wypełniać również, nie stawiając ich jednak na pierwszym planie, przed obowiązkami codziennymi! - -

Co ci te obowiązki nakazują, dowiesz się natychmiast, gdy już osiągniesz istotnie ów pierwszy cel drogi!

Każdemu owe dalsze obowiązki w odmiennej ukazują się postaci, byłoby więc niepodobieństwem określić ci je bliżej. —

Lecz osiągnąwszy pierwszy cel drogi nie będziesz mógł nigdy zaznać wątpliwości, na czym obowiązki te dla ciebie polegają i czego od ciebie żądają!

Jeśli i te obowiązki będziesz wiernie i wytrwale spełniał przez czas dłuższy, zarówno

jak obowiązki codzienne, tym samym osiągniesz cel trzeci, polegający na tym, że taki sam spokój czystego sumienia, jaki spływał na cię po wypełnieniu bez zarzutu obowiązków codziennych, będziesz odtąd odczuwał i w stosunku do tych wyższych obowiązków. - - -

A wtedy zaraz ci się ukaze cel dalszy i pomiarkujesz, że nie żąda on od ciebie niczego innego, jeno byś dokładał usiłowań, ażeby i inni mogli korzystać z tego, czemu zawdzięczasz własne postępy.

Nie żąda się tu od ciebie, abyś każdego spotkanego po drodze miał z niemądrą gorliwością misjonarską nakłaniać ku temu, co ciebie przywiodło do pewności; tylko się żąda, abyś i ty oddał się w służbę wpływów, które ci już przyniosły pierwsze wyzwolenie, i byś przykładem swoim starał się w tym samym sensie oddziaływać. —

Żeś dopiął i czwartego celu drogi, stwierdzi to świadomy spokój sumienia, wskazujący ci, że zdołałeś cel ów osiągnąć nie przez rozprawy i dysputy, tylko przez życie, czyny i postępowanie !

I niezwłocznie ujrzysz przed sobą cel piąty, żądający, abyś się wykazał jako twórca!

Będziesz oto musiał w jakiś sposób wtrącić się skutecznie w życie swego otoczenia, nie ażebyś miał dążyć do wypełnienia z niego zła, jeno że będziesz zmierzał do tworzenia wokół siebie sprzyjających warunków, w myśl osiągniętego już przez cię poznania. - - -

A gdy spłynie na cię i wówczas ów wielokrotnie i nieomylnie odczuwany, niezmacony spokój sumienia, stwierdzisz go w sobie już łącznie z nowym poznaniem i to jest etap szósty, szósty stopień twej drogi, mającej doprowadzić cię na stopniu siódmym do zjednoczenia z duchowym twym prazródłem!

Nowe zaś poznanie powie ci, że oto nadeszła pora coraz nowego doświadczenia i doświadczenia siebie: czy zebrawszy wszystkie swe myśli i starania, nie porzucając jednakże tej ziemi, byłbyś już zdolny wyzwolić się duchowo z jej trybów na tyle, ile trzeba, aby mogło się w tobie dokonać zjednoczenie

ze światem ducha, przez które doczesna świadomość twoja stanie się zdolna dosłyszeć w tobie święty głos twego Boga Żywego, nie popadając już nigdy w złudzenie.

Nie wcześniej czyni jednak próby Wyzwolenia się ze zwykłego trybu, póki nie nabędziesz pewności niezbitą, żeś przewędrował w pełni świadomości wszystkie poprzednie etapy swej drogi!

Gdybyś czynił próby takie wcześniej, musiałbyś niechybnie paść ofiarą z w o d n i c z y c h potęg, aby dopiero po pożegnaniu ziemi przekonać się ze zgrozą, jakże okropnie byłeś oszukiwany!

Byłbyś wtedy podobien człowiekowi, któremu we śnie zdaje się, że lata, cieszy się przeto swą sztuką, a po ocknięciu zmuszony jest się przekonać, że jak nie mógł przedtem, tak i teraz nie może przemóc siły ciężenia, przykuwającej go do ziemi. —

Jakkolwiek prostą mogłaby ci się wydawać wędrówka przez minione etapy twej drogi, choćby gorąco nęcić cię miała pokusa uwierzenia, żeś już dawno był je przewędrował, muszę

przestrzec cię równie gorąco przed poddawaniem się temu z l u d z e n i u !

Gdybyś spróbował przedwcześnie wyzwoić się z trybów ziemskości, nie tylko postawisz pod znakiem pytania wyniki całego dążenia twego, lecz narazisz się zuchwale na niebezpieczeństwo zgubienia na wiele, wiele tysięcy owej drogi, co miała cię przywieść do Światłości.

Lecz jeśli opisaną tu drogę przejdiesz istotnie i uczciwie oraz zdobędziesz pewność, żeś z a d n e g o z pośrednich jej etapów nie p o m i n ą ł, wyzwolenie twe musi się wówczas zacząć od próby znalezienia w sobie nagiego człowieka!

Nie wydaje ci się to rzeczą arcytrudną, a jednak o wiele jest trudniejsze, niż byś mógł przypuścić! - -

Zwykłeś dotychczas - i słusznie - uważać się za latorośl określonej rodziny, za syna danego narodu, za jednostkę, należącą do pewnej sfery.

Aż dotąd nie wolno ci było czuć się wyzwolonym z takich więzów, jeśliś chciał żyć nadzieję osiągnięcia z czasem swego celu.

Odtąd zaś musisz się zwolna nauczyć oceniać wszelkie takie więzy z punktu widzenia wieczności, albowiem duch wiekui- sty nie spływa ani na „M e d a”, ani na „P e r s a”, ani na „G r e k a”, ani na „R z y m i a n i n a” - ani na potomka tego czy innego czcigodnego rodu, ani na członka tej czy innej kasty, jeno: - na nagiego

CZŁOWIEKA!

Jedynie tego „nagiego”, kosmicznie uję- tego człowieka musisz odtąd w sobie wy- czuwać, a wszystko, cokolwiek wyróżniało go na sposób ziemski, niech będzie dla cię czymś niei- stotnym i znikomym!

Lecz jakże błędnie tłumaczyłbyś sobie me słowa, gdybyś sądził, że wszystko, coś uznał za „nieistotne” i „znikome”, musi ci się wydawać bez wartości i w życiu codziennym!

Wkracza to w twe życie codzienne z przyczyn nader ważkich i musi tam być utrzymane, jeśli nie chcesz zakłócić kosmicznego ładu; lecz również zbrodniczo był-

byś zakłócił ów porządek, gdybyś w sferze codzienności zechciał tym decydującym, a przez swą określoność klóącym się z sobą momentom większe nadawać znaczenie, niżli to im z natury rzeczy przystoi! - -

Jeśli podobną rzecz względną ogarniesz w codzienności swą miłością - czy będzie się ona zwała kółkiem rodzinnym czy kasta, ludem czy narodem - będziesz zawsze postępował słusznie, umiając też miłować względne wartości innych; lecz gdy tylko poczniesz w sposób szczególny podnosić to, co cię cechuje jako członka ludzkości całej, staniesz się burzycielem kosmicznego ładu, podobnie jak muzyk w wielkiej orkiestrze zakłóciłby utwór muzyczny, gdyby zechciał dobywać ze swego instrumentu dźwięków mocniejszych i głośniejszych, niż wymaga tego rola wyznaczona mu przez mistrza! - - -

Nawet dotarłszy do tej ostatniej stacji swej ziemskiej wędrówki, skąd wnijsć masz niebawem do królestwa ducha, nie sądź, że wolno ci zaniedbać wówczas choćby jednego z poznanych przedtem obowiązków!

W życiu więc codziennym musisz zawsze oddawać należne wszystkiemu, co jest częścią codzienności, a mimo to w samym sobie winienesz żywić wyższe poczucie, które każe ci uważać za rzeczy „nieistotne” i „znikome” to wszystko, co w codzienności jednakże wartość potoczną posiada! - - -

A gdy w najwyższej sferze twych odczuwań nie pozostanie już nic, krom nagiego, branego kosmicznie CZŁOWIEKA, dążącego do zjednoczenia z BOSKOSCIĄ, będziesz musiał się wtedy nauczyć prawdziwie miłować samego siebie i wolno ci będzie dążyć coraz spieszniej do odczuwania siebie już jako MIŁOŚCI tylko, aż nie pozostanie w tobie nic, co nie jest ŻAREM MIŁOŚCI. - - - - -

Miłością trawiony, staniesz się w onej oczyszczonej żarem sferze krużać miłości BOSKIEJ, a w najtajniejszym „Ja” twoim „ŻYWY BÓG” twój zjednoczy się z tobą...

Tutaj dopiero osiągniesz cel ostateczny swej wyżynnej drogi, lecz rychło znów byś go utracił, gdybyś sobie ninie uroił, pokąd jako syn ziemi należysz również do świata co-

dzienności, żeś już wolen od swych codziennych obowiązków! - - -

W tobie ściele się więc owa droga, po której odtąd o każdej godzinie, już w chwili, gdy tego zapragniesz, będziesz mógł wznieść się na najwyższy twój szczyt w królestwie ducha, ku jedni z twym żywym Bogiem; a z onego szczytu najwyższego spłynie zarówno i na codzienność twoją owa Światłość, co nie jest z tej ziemi i prawom ziemskim nie podlega! - - -

A wówczas może zdołasz wyrozumieć, czego nauczał ongi Wielki Miłujący mówiąc, że „bliskie” jest królestwo niebieskie i że nie podobna rzecz, iż jest ono tu albo tam, ani też sądzić należy, iż w wielkiej przyjdzie chwale, albowiem:

„Królestwo Boże w was jest!”

W podniosłym nastroju odczytane zostały te słowa z zapisków Młodego i obaj starsi podróżni, przysłuchujący się z przejęciem młodemu przyjacielowi, byli wzruszeni nimi do głębi.

Po chwili milczenia powstał najstarszy z trójki mówiąc:

- Zaprawdę, wzniosłą odebraliśmy tu naukę, a tajemnica życia prawdziwego odsłoniła się teraz przed nami!

Ileż zagadnień znajduje w tej nauce rozwiązanie!

Jakże inaczej wygląda ziemskie bytowanie człowieka w oczach tego, komu było dane to usłyszeć!

Zamilkły we mnie już wszelkie pytania i najwyraźniej widzę przed sobą drogę, którą winniem przebyć! –

Również i drugi z trójki, który w toku przemówienia Starca podniósł się wraz z Młodym, wypowiedział się podobnie, kończąc swe słowa takim wyznaniem:

- Zdarzyła się nam w tej podróży rzecz wielka, a gdy jutro wypadnie nam pożegnać tę wyspę, powracać będziemy jako ludzie inni!

Odtąd nawet codzienne życie nasze, jakże często czyniące na nas wrażenie czegoś szarego i pustego, nabierze barwy i treści,

a skoro w czasach zamierzchłych czczono tu słońce, jako symbol boskości, ośmielę się oświadczyć, że odtąd i ja też poświęcę się kultowi słońca; lecz słońce to noszę w s o b i e i zda mi się, że czuję już jego promienie! - - -

Po naszej podróży spodziewałem się wielu cudowności, lecz nigdy bym nie oczekiwał, że mógłbym powracać tyle bogatszy w poznanie, któregom szukał całe życie. - -

Zaprawdę, jakieś wyższe moce musiały nad nami rozpostrzeć swe dłonie! - -

A choćbyśmy my obaj, ludzie starsi, mogli żałować tego, że poznanie, które się tu jawiło naszym oczom, zeszło na nas dopiero w tak późnych latach, jednakże musimy przyznać, że dawniej byłoby ono przedwczesne i oczywiście umiało sobie wybrać czas właściwy. - -

Wioślarze dawno już ścignęli barkę na morze, które teraz, gładkie jak zwierciadło i do płynnego światła podobne, szykowało się do pochłonięcia tarczy słonecznej.

Morze i niebo zdawały się stapiać w jedno zarzewie złociste!

A gdy przyjaciele, spostrzegłszy się wreszcie, że wioślarze pewnie już długo na nich czekają, zaczęli schodzić ku wybrzeżu, młodszy z braci wioślarzy, zauważywszy to, pośpieszył na ich spotkanie, aby zabrać do łodzi koszyki i naczynia.

Już po upływie kilkunastu minut barka była daleko od zakątka, gdzie tak długo wypoczywano, lecz teraz nie było już potrzeby kierować się na pełne morze, mogąc bezpiecznie opływać potężne urwiska wyspy w nieznaczej odległości, pośród raf przybrzeżnych.

Cudnym przepychem barw płonęły skały w promieniach słońca, w pełni blasku zanurzającego się w morzu.

Po tej stronie wyspy widniały tylko nieliczne zielone wąwozy i rozleglejsze zatoczki, okolone gajami oliwnymi.

Niemal bez przerwy piętrzyły się potężne mury skalne, bardzo często wydrażone od spodu

przez morze; wędrowcy zaglądali w głąb tych obszernych grot, skąd biegły poszmery tajemnicze.

A że podróżni zdradzali żywe zainteresowanie wszystkim, co można było zobaczyć z bliska, wiosłarze z przyjemnością zbaczali z najkrótszej drogi i objeżdżali każdą zatoczkę, przy czym tu i ówdzie, w miejscach wyróżniających się pięknnością, zatrzymywano się nawet na dłużej.

Tak się złożyło, że zwolna noc zapadła - noc coraz cudniej strojna gwiazd przepychem - podczas gdy od strony lądu widać już było tylko migocące rzędy światełek niezbyt odległego wielkiego miasta portowego.

Sama wyspa sprawiała teraz wrażenie bezludnej, ponieważ barcę dzieliła jeszcze znaczna odległość od miejsca, skąd można by było dojrzeć pierwsze światła miasteczka na wzgórzu.

W głębokim, czerniawym cieniu ścian skalnych ślizgała się teraz barka, pędzona różnymi uderzeniami wiosł.

Każde ich dotknięcie wydobywało z toni morskiej lazuru, fosforyzującą poświatę, pły-

nać z niezliczonego mrowia świecących żyjątek morskich.

Niby ogon rakiety jaśniał jeszcze długo poza łodzią świetlisty ślad tramu.

A że łowiono tu ryby tylko nocą przy blasku pochodni, podróżni spotykali od czasu do czasu łodzie rybackie, udające się na miejsce połowu, a obecnie otulone jeszcze gęstwą mroku, niby widma.

Zamieniając wesołe pozdrowienia, niebawem znikano sobie z oczu w ciemnościach nocy.

Co pewien czas, tam zwłaszcza, gdzie zdaniem braci donośne echo mogło sprzyjać ich kunsztowi, rozbrzmiewały ich pieśni ojczyste, dobywane z pełni płuc; że jednak głosy ich niezbyt przypominały miłą dla ucha melodyjność wielkich śpiewaków tego kraju, trójka podróżnych, acz przysłuchiwała się chętnie znanym sobie słowom, tym lepiej jednak umiała oceniać potem chwile, gdy obejmowała ich znowu niezgłębiona cisza wieczoru, jeszcze wyraźniej podkreślana przez rytmiczne uderzenia wiosła.

Wreszcie, po opłynięciu ostatniego, potężnego cypla, dostrzeżono pierwsze światelka wyspy i po niedługiej chwili barka dobiła do przystani. Tu już od kilku godzin oczekiwał powrotu łodzi zamówiony vetturino ze swą kolasą, który wolniutko powiózł cudzoziemców drożyną, wijącą się nieustannie w górę, do miasteczka, gdzie ulubiona przez nich gospoda miała im owej nocy udzielić schronienia po raz ostatni.

Po spożyciu w niej wieczerzy, przyjaciele przechadzali się jeszcze czas krótki wśród cedrów i palm mrocznego po nocy ogrodu, radując wzrok widokiem skrzących się na morzu światelek pochodni niezliczonych łodzi rybackich, zajętych właśnie połowem.

A że nazajutrz przyjaciele zamierzali wyjechać, uznali więc za wskazane udać się niezwłocznie na spoczynek, umówiwszy się jeszcze przedtem, aby w miarę możliwości wyzyskać dla powrotu drogę morską od pobliskiego portu na lądzie stałym i korzystać z niej, pokąd tylko będzie można.

Taka podróż pozwalała się spodziewać przepięknych okazji do ponownego rozważenia w skupieniu duszy wszystkich kwestii, omówio-

nym w ciągu tych tygodni, celem całkowitego uprzytomnienia sobie faktu, jakże innym jawi się życie doczesne człowiekowi, odkąd została przed nim odsłonięta radosna tego życia tajemnica. - - -

POSŁOWIE

Czytelnik, znający inne moje księgi, niewątpliwie zorientował się dawno, że nie chodziło mi tu wcale o żadną „opowieść”. –

Toteż nie potrzebuję mu chyba objaśniać, że powieściowa f o r m a tej księgi musiała być obrana wyłącznie dlatego, aby naukę, głoszoną w innych mych pracach, udostępnić również tym, którzy, zbyt łatwo tracąc odwagę, stają w zniechęceniu, natrafiwszy w jakiejś książce na nauki a b s t r a k c y j n e, a na domiar słyszą niemal wyłącznie o rzeczach zbyt może dalekich od ich życia codziennego.

Lecz niechże podkreślę tu wyraźnie, że każde słowo tej księgi opiera się na p r z e ż y - c i a c h r z e c z y w i s t y c h !

Występujący w niej trzej podróżni posłużyli autorowi jedynie za wyrazicieli takich przeżyć i dali mu sposobność do stworzenia obrazu z dodaniem doń niektórych barw, które by się może nie dały zużytkować, gdyby zamiarem

autora było tylko naszkicowanie realnego prototypu takich przeżyć.

Jednakże w wielu miejscach przedstawione zostały również przeżycia rzeczywiste, jakkolwiek tło lokalne, zarówno jak sylwety rozmówców uległy modyfikacji, gdyż tylko takie odstąpienie od „opisu realistycznego” pozwoliło autorowi dać jednak wyraz swym przeżyciom.

Nie wydawało mu się również potrzebne charakteryzować bliżej występujących w tej księdze rozmówców, gdyż zamiarem jego nie było przecie malowanie portretów ludzkich, lecz danie obrazu nauki. -

Kto zdolny jest i chętny tę naukę wchłonać, z łatwością potrafi uwolnić je od obłonek, dla wielu zaś może dopiero w obranej tu postaci nabierze ona pełni życia. - -

Tysiące ludzi uzyskały już w najrozmaitszy sposób potwierdzenie tej nauki, jednak we wszystkich zakątkach ziemi można napotkać jeszcze mnogie tysiące spragnionych „prawd y”, spragnionych rozwiązania zagadnień ostatecznych, a popadających z jednego bezdroża w drugie, aby w końcu przekonać się z rezygnacją, że

żadne nie zdołało ich przywieść do źródła poznania. --

Oby na wszystkich tych Szukających spłynęła z tej księgi pełna ufności pewność, że cel swój osiągnąć zdołają, jeśli pójdą za jedynymi synami ziemi, do nauczania tu uprawionymi - którzy podają wieści nie o swych przypuszczeniach, wnioskach czy domniemaniach, ale uczą, jako „Ojciec”, którego sami tylko znają, uczyć im nakazuje! - - -

Każda epoka wymaga innej formy nauczania, a Mądrość Przedwieczna doskonale potrafi rozstrzygać, jak działać mają ci, którzy się stali jej narzędziem. —

Jakoż i autor tej księgi, oddając w służbę tej nauki słowo pisane, nie wedle własnego wcale działa wyrozumienia!

Gdzie słowo mówione dotrzeć nie zdoła nigdy, tam w naszych czasach dotrzeć książka drukowana, wciąż na nowo podając Szukającym naukę, która w tych czasach pośpiechu i gorączki wnet by się z wiatrem

rozwiąła, gdyby tylko czasami można ją było z
czyichś u s t posłyszeć. –

Należy również unikać tworzenia
„g m i n” zwolenników tej nauki oraz czynienia
apriorystycznych d o g m a t ó w z tego, czego
prawdziwość i rzeczywistość wykazać może do-
piero doświadczenie serca - - -

Nie będzie w tym jednak nic zdrożnego,
jeśli tu i ówdzie jakieś grono Szukających posta-
wi sobie za zadanie żyć wedle tej nauki; lecz
choć niemało poszukujących prawdy, zgodnie ze
swą naturą, spodziewa się postępu wyłącznie od
dążeń z b i o r o w y c h , nie wolno nikomu - jeśli
nie chce f a ł s z o w a ć tej nauki - uważać jej za
z w i ą z a n ą wyłącznie z dążeniami zbiorowy-
mi!

Nawet w takiej wspólnocie poszu-
kiwań może ona odślonić świetliste swe głę-
bie tylko jednostce, a koniec końcem wy-
łącznie osobiste ziemskie skłonno-
ści jednostki mogą rozstrzygać o tym, czy życzy
ona sobie jakichś współwędrowców, czy też od-
powiada jej raczej wędrowka na w ł a s n ą r ę-
k ę . - - -

Na ścieżce wyżynnej kędy ta nauka wiedzie, każdy, kto chce jej słuchać pozostawion jest i tak samemu sobie, czy wie o innych, którzy również na nią wkroczyli, czy nie wie!

A choćby każdy pozostał wierny tej gminie religijnej, która od lat najmłodszych użyczyła mu nici przewodniej; choćby za nią idąc, spodziewał się drogę do ducha odnaleźć, a potem zyjąc wedle podanej tu nauki, drogę tę znalazł istotnie: będzie przecież umiał na tyle pogłębić dogmaty religijne swych lat młodocianych, że potrafi dopomóc innym, tym, którzy o prawdziwości dogmatów, wpajanych im w pachołectwie, od dawna zwątpili, jako że wiary tej nauki cyiele, sami pełni zwątpienia, nie umieli udzielić im pomocy, sami bowiem najbardziej pomocy tej potrzebowali. . . .

Niechże więc i ta księga niesie wyzwolenie i jasność, niechaj wskazuje drogę do Światłości wszystkim, co znaleźć ją pragną! –

Oby wszystkim ludziom dobrej woli dała ona pierwszy impuls do dążenia ku wyżynom ducha, a gdy ich osiągną,

s e n s i c e l o s t a t e c z n y b y t u n i e b ę d z i e j u ż d l a
n i c h „ T a j e m n i c ą ” !

K O N I E C

SPIS TREŚCI

ZAWIĄZANIE.....	6
ROZMOWA NA WYBRZEŻU	37
SAN SPIRITO.....	53
NOC NA POŁUDNIU	94
SKALISTA WYSPA.....	133
PRZEJAZDŹKA PO MORZU	165
POSŁOWIE.....	221

SPIS DZIEŁ AUTORA BO YIN RA

1. KSIĘGA SZTUKI KRÓLEWSKIEJ
2. KSIĘGA BOGA ŻYWEGO
3. KSIĘGA ZAŚWIATA
4. KSIĘGA CZŁOWIEKA
5. KSIĘGA SZCZĘŚCIA
6. DROGA DO BOGA
7. KSIĘGA MIŁOŚCI
8. KSIĘGA ROZMÓW
9. KSIĘGA POCIECHY
10. TAJEMNICA
11. MĄDROŚĆ JANOWA
12. DROGOWSKAZ
13. UŁUDA WOLNOŚCI
14. DROGA MOICH UCZNIÓW
15. MISTERIUM GOLGOTY
16. MAGIA KULTU I MIT
17. SENS ŻYCIA
18. WIĘCEJ ŚWIATŁA
19. WYSOKI CEL
20. ZMARTWYCHWSTANIE
21. ŚWIATY
22. PSALMY
23. MAŁŻEŃSTWO
24. MODLITWA / TAK NALEŻY SIĘ MODLIĆ
25. DUCH A FORMA
26. ISKRY / STOSOWANIE MANTRY
27. SŁOWA ŻYWOTA
28. PONAD CODZIENNOŚĆ
29. WIEKUISTA RZECZYWISTOŚĆ
30. ŻYCIE W ŚWIETLE
31. LISTY DO CIEBIE I DO WIELU INNYCH
32. HORTUS CONCLUSUS

N i e należące do mojej nauki duchowej aczkolwiek najściślej z nią związane:

W SPRAWIE OSOBISTEJ
Z MOJEJ PRACOWNI MALARSKIEJ
KRÓLESTWO SZTUKI
TAJEMNE ZAGADKI
KODYCYL DO MOJEJ NAUKI DUCHOWEJ
MARGINALIA
O BEZBOŻNOŚCI
STOSUNKI DUCHOWE
ROZMAITOŚCI

Jak również broszury:

O MOICH PISMACH
DLACZEGO NAZYWAM SIĘ BO YIN RA

oraz wydane po śmierci autora:

POKŁOSIE
(Proza i wiersze zebrane z czasopism)